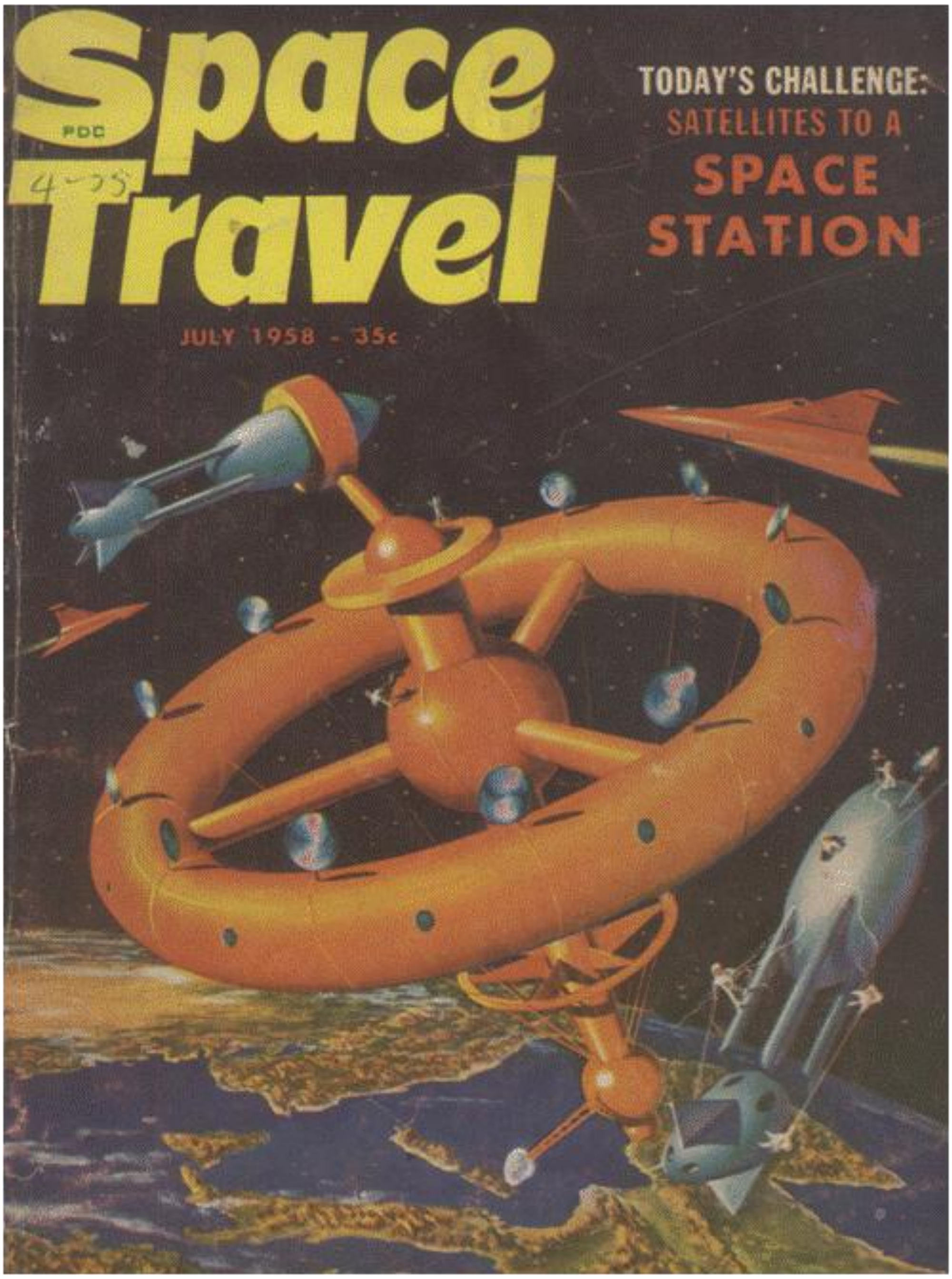
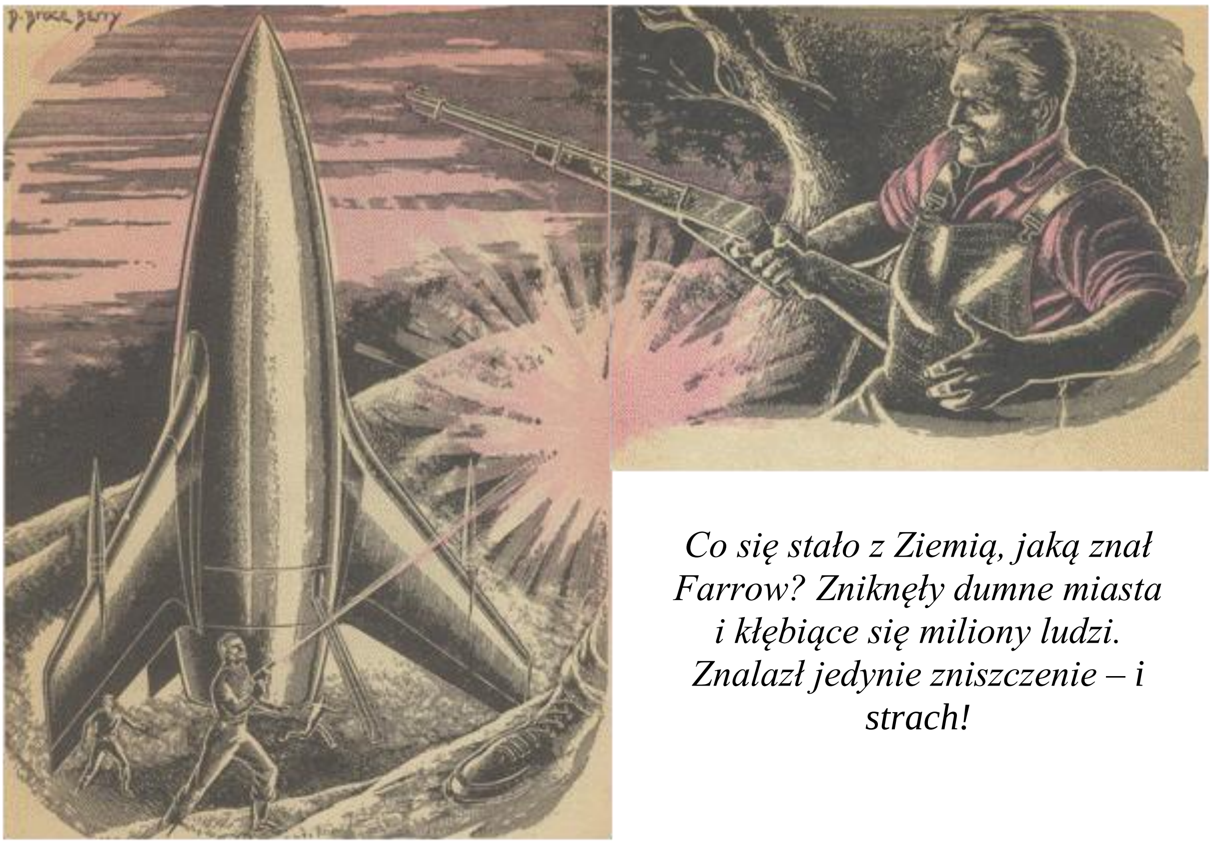

Space Travel
PDC
4-25
TODAY'S CHALLENGE:
SATELLITES TO A
SPACE
STATION
JULY 1958 - 35c

Edmond Hamilton

Planeta wygnania

(Planet of Exile)

Space Travel, July 1958
Okładka: Malcolm Smith
Ilustracje wewnątrz: D. Bruce Berry
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z Internet Archives.



Co się stało z Ziemią, jaką znał Farrow? Zniknęły dumne miasta i kłębiące się miliony ludzi. Znalazł jedynie zniszczenie – i strach!

Rozdział 1

Biegł ze wszystkich sił na ślepo, przez smagany deszczem las, otępiały z przerażenia. Zupełnie nie wiedział gdzie jest.

Nie wiedział także *kim* jest.

Nisko zwisające gałęzie drzew chłostały go po twarzy, poszycie wczepiało mu się w nogi, ale to wszystko nawet do niego nie docierało.

Jedyną rzeczą w świecie był strach, i musiał biec, i biec, coraz dalej, i…

Nagle rzuciło nim potężne uderzenie. Leżał na wpół oszołomiony w mokrym mchu, a deszcz lał wokół niego niemiłosiernie.

Po pewnym czasie uniósł się do pozycji siedzącej. Wpatrywał się bezmyślnie w potężny chropowaty pień olbrzymiej sosny, stojącej w odległości kilku cali od niego. Potem zaczął z wolna rozumieć. Nie zważając na nic, w swojej ucieczce na ślepo, wbiegł prosto na drzewo.

Rozejrzał się wokół siebie po lesie. Wszędzie dookoła wznosiły się gigantyczne dęby, sosny i świerki, a pod nimi rozciągał się tylko szary półmrok mrocznego dnia, i poszeptywanie deszczu.

– Ale skąd i dlaczego uciekałem? – zastanawiał się.

Nie wiedział. Nie wiedział niczego, poza tym, że było mu mokro, zimno, oraz że się bał.

Popatrzył po swoim ciele. Miał na sobie brązowe ubranie i miękkie buty. W kieszeniach nie było niczego, żadnych wskazówek co do jego tożsamości.

Musiał sobie przypomnieć kim był, w jaki sposób znalazł się w tym miejscu i dlaczego był tak bardzo przerażony. *Powinien* to pamiętać! Coś, choćby cokolwiek…

Skulił się, próbując… ciemnowłosy, wychudzony młody człowiek, wybrudzony krwią z rozciętego policzka, z płonącymi szaleńczym ogniem oczyma.

– To może kosztować pana życie, Farrow. Eksperyment może zakończyć się niepowodzeniem.

Z ciemnej pustki niepamięci, nagle napłynęły te słowa, a po nich ponownie zapadły ciemności. Usiłował je odepchnąć. I nagle powiedział na głos:

– Farrow. Nazywam się Kenneth Farrow.

Zerwał się na równe nogi, serce waliło mu jak młotem, powietrze łapał potężnymi haustami. Deszcz przestał padać. W gigantycznym lesie panowała kompletna cisza.

– Eksperyment może zakończyć się niepowodzeniem…

Nic więcej. Kto to powiedział? Nazywał się Kenneth Farrow. Ale kim był Kenneth Farrow i czego tak bardzo się bał?

Farrow rozejrzał się wokoło, desperacko próbując obudzić otępiałą pamięć, poprzez widok jakichś znajomych rzeczy. Ten las w ogóle jednak nie wyglądał znajomo. Drzewa były zdecydowanie za duże, jak na jakikolwiek las, który znał. W jaki sposób się tu znalazł?

Patrząc do tyłu, wyraźnie widział szlak jaki pozostawił po sobie, ślady jego napędzanej strachem ucieczki — połamane krzaki, odciski stóp wbijające się głęboko w mokrą ziemię.

W Farrowie wezbrała nagła nadzieja.

– Mogę pójść własnym śladem, do miejsca z którego przybiegłem. Ktoś tam powinien wiedzieć, kim jestem.

Zaczął podążać za swoim śladem. Tu i ówdzie, zataczał on jakieś bezsensowne zakosy, ale nieustannie prowadził Farrowa przez las, po z wolna wznoszącym się gruncie. W miejscu, gdzie rozciągał się wielki wiatrołom, mógł w końcu popatrzeć w górę, i zobaczył przed sobą niskie gołe wzgórza.

Nadepnął na coś stopą i spojrzał w dół. Grubą warstwą rozpościerały się tu szczątki pokruszonego betonu, na wpół pokryte przez zielsko i trawę. Rozejrzał się dokładniej. Zobaczył kolejne betonowe kawałki, układające się w szeroką drogę. Pomiędzy nimi jednak wyrastały wielkie drzewa.

To była droga, ale musiała zostać porzucona już dawno temu. Farrow nie mógł tego zrozumieć. Wyrzucił to z głowy i ruszył dalej.

Wszedł kawałek pod górę na nagie zbocze. Stanął i zaczął się rozglądać.

Musiała tędy zejść lawina, i to bardzo niedawno. Skały i goła ziemia leżały razem na stoku, w skłębionej błotnistej masie. Obsunęło się całe strome czoło wzgórza.

W górze, na odsłoniętym nowym zboczu widać było czarny otwór, całkiem jakby jakieś oko spoglądało na niego. Jego ślady, głęboko odciśnięte w grząskiej ziemi, wychodziły prosto z tego otworu.

Serce Farrowa gwałtownie skoczyło w piersi. Ponownie nagle opadła na niego ślepa groza. Zmusił się jednak do pójścia pod górę, w stronę otworu.

W tym miejscu, we wzgórzu, zatopiony był betonowy bunkier. Widać było wyraźnie jego ściany, odsłonięte przez lawinę. Stalowe drzwi, z grubą plastikową uszczelką wokół krawędzi, zostały urwane, a następnie rozbite przez osuwające się skały. Ich resztki wisiały otwarte na oścież na jednym masywnym zawiasie.

Powoli, pełen niedobrych przeczuć, Farrow zmusił się do przejścia przez nie.

W środku znajdowało się charakterystyczne, ciemnawe zimne wnętrze betonowego bunkra, nie więcej niż osiem stóp kwadratowych. Po jednej stronie stało łóżko, z plastikowym materacem W rogu stały butle gazowe, znajomego typu. Na półkach, które zajmowały resztę bunkra, walała się oszołamiająca ilość różnorodnych rzeczy – dwa karabiny, pudełka z

amunicją, puszki z jedzeniem, radia, narzędzia. Każda rzecz miała przymocowaną białą etykietkę.

Farrow szurając ubłoconymi nogami o podłogę, powoli podszedł w stronę półek. Pomiędzy znajdującymi się tam rzeczami leżała bezbateryjna latarka, z nakręcaną sprężyną. Nakręcił ją, a następnie skierował strumień światła na etykietkę na najbliższym przedmiocie. Napis na niej był krótki. Przeczytał go: „Operacja Świstak. Próbka testowa Nr 14, 17 czerwca 1979”

Operacja Świstak!

Latarka wypadła z bezwładnych palców Farrowa. Zachwiał się i musiał się oprzeć o półki.

Jego umysł rozjaśniła jakby błyskawica. Już pamiętał.

Operacja Świstak…

Wiedział już, gdzie był i kim był.

Nazywał się Kenneth Farrow. Był jednym z młodszych pracowników naukowych na wydziale fizyki Eastern University, czasowo oddelegowanym do zadań specjalnych do Defense Scientific Commision. To właśnie Komisja zaplanowała Operację Świstak.

Farrow przypomniał sobie to wszystko, kiedy zatoczył się w zimnym półmroku bunkra. Przed oczyma stanął mu ponownie stary Zimmer, gniewny i surowy, przemawiający do nich z drugiego końca długiego stołu. Ciągle słyszał ten suchy, precyzyjny głos, przedstawiający im problem, jaki mieli rozwiązać.

– Panowie, wojna atomowa. Może rozpocząć się w każdej chwili, od niespodziewanego ataku. Nasze ostatnio podjęte pierwsze wyprawy w kosmos, satelity, a następnie rakiety księżycowe i marsjańskie, tylko jeszcze podniosły napięcie w stosunkach międzynarodowych. Jeśli nasi wrogowie powalą nas przy pomocy nagłego zaskakującego ataku, cały kosmos będzie należał wyłącznie do nich. To może ich zachęcić do tego aby spróbować.

– Ale my *jesteśmy* coraz lepiej przygotowani – zaprotestował Finetti. – Możemy szybko zadać cios odwetowy. A także rozpoczęliśmy już budowę wielkich podziemnych schronów, które pomieszczą cały nasz naród…

– I to właśnie – przerwał mu Zimmer, – jest sedno naszego problemu. *Jak długo* te schrony zapewnią przeżycie milionom z nas? Tygodnie, miesiące mogą minąć, zanim zniknie skażenie radioaktywne i będzie można bezpiecznie wyjść z nich na powierzchnię. Nie jesteśmy w stanie zmagazynować dostatecznie dużo powietrza i żywności, aby starczyło dla tak wielu.

I wtedy, jak przypominał sobie Farrow, Zimmer odpalił swoją bombę. Rewelację dotyczącą procesu Hanawalta, sztucznego letargu.

– Świstak, oczekując na czas, kiedy będzie mógł wyjść na powierzchnię, może zapadać w sen. To nie jest tak naprawdę sen, tylko estywacja, letarg, hibernacja. Niemal zupełne zatrzymanie procesów życiowych, tak więc nie potrzebuje on wtedy jedzenia, niemal nie potrzebuje powietrza. Jeżeli będziemy przygotowani do umieszczenia milionów ludzi w schronach, w warunkach sztucznej estywacji, oni również mogą sobie spać, dopóki nie przyjdzie czas bezpiecznego wyjścia na powierzchnię.

Chłodne spojrzenie Zimmera ponownie omiotło ich twarze.

– Gaz Hanawalta może tego dokonać, jesteśmy tego pewni. Niemal kompletnie zawiesza metabolizm, krążenie krwi, oddychanie. Działa na zwierzętach laboratoryjnych. To czego potrzebujemy, to ludzki obiekt badań, który poddany zostanie działaniu gazu na sześć miesięcy. Wykorzystamy mały bunkier, o izolowanej lokalizacji, skryty pod ziemią, tak by jak najlepiej oddawał rzeczywiste warunki panujące w schronach.

Zimmer dodał jeszcze:

– Naturalnie, to wszystko musi zostać utrzymane w całkowitej tajemnicy. Proszę więc o ochotnika, który nie ma żadnych więzi rodzinnych.

I to, jak pomyślał sobie Farrow, zdawało się pozostawiać do wyboru tylko jego. Był jedynym wśród nich, który nie miał żony, dzieci, ani rodziców.

Zgłosił się na ochotnika i został przyjęty. Bunkier na potrzeby testu, został przygotowany na terenie wojskowej nieruchomości rządowej, tutaj w niskich wzgórzach wschodniego Ohio. Kiedy bunkier był już w końcu gotowy, Zimmer, dokładnie w tym miejscu, przekazywał mu ostatnie instrukcje.

– Drzwi bunkra zamykają się hermetycznie, i można je otworzyć z obu stron. Kiedy stąd wyjdę, proszę je zamknąć i uszczelnić, a następnie wypuścić gaz. Zaśnie pan i nie obudzi się, zanim nie minie sześć miesięcy od dzisiaj, kiedy przyjedziemy tu ponownie i otworzymy bunkier.

Czy mroźną duszę Zimmera przeniknął jakiś ostatni cień sumienia? Przerwał bowiem i powiedział:

– Muszę pana ponownie ostrzec. To może kosztować pana życie, Farrow. Eksperyment może zakończyć się niepowodzeniem.

Farrow całym sercem pragnął zrezygnować, wydostać się z tego miejsca. Jednak duma, pycha powstrzymała go przed tym. Skinął jedynie głową.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Myślę jednak, że wszystko pójdzie dobrze.

Uszczelnił drzwi po wyjściu Zimmera. Po raz ostatni powiódł wzrokiem po bunkrze, po łóżku, po stosach różnych rzeczy na półkach, których reakcja na gaz również musiała zostać przetestowana, na butle z gazem.

Z nerwowym pośpiechem otworzył zawory butli. Położył się na łóżku, wsłuchując się w syczenie gazu. A potem nie było już zupełnie niczego. Niczego poza snem.

Kiedy w końcu obudził się, jego mózg był ciągle otumaniony długotrwałą estywacją, i opanowało go czysto zwierzęce przerażenie, po tym jak znalazł się sam, w tym dziwnym bunkrze. Właśnie ono skierowało jego kroki na zewnątrz, i spowodowało tę ucieczkę na ślepo przez las…

– A więc to lawina, niszcząc drzwi bunkra, spowodowała ucieczkę gazu i obudziła mnie – pomyślał Farrow. – To nie Zimmer. Czyli te sześć miesięcy chyba jeszcze nie upłynęło…

Coś jednak lodowatym cieniem kładło się na jego myślach. Droga. Zniszczona betonowa droga z wielkimi drzewami wyrastającymi pomiędzy jej pokruszonymi fragmentami. Ta droga była w idealnym stanie… kiedy tutaj przyjechali.

Ile czasu potrzebuje takie wielkie drzewo, żeby wyrosnąć w miejscu w którym była betonowa autostrada?

– Och, nie – wyszeptał na głos Farrow. – To niemożliwe.

Nie mógł przecież leżeć w estywacji aż tak długo. Nie pozwoliliby na to, żeby tak się stało. Zimmer i pozostali — musieliby w końcu przyjechać, po tym sześciomiesięcznym okresie i go obudzić.

Chyba, że wszyscy byli już martwi – coś wyszeptało mu w umyśle.

Farrow powiedział sobie, że takie dzikie wybryki wyobraźni lepiej wyrzucić z głowy. W Komisji było kilkunastu ludzi, którzy znali tajemnicę Operacji Świstak. Nie mogli przecież wszyscy tak nagle umrzeć…

Albo… może mogli? Przypuśćmy, że kiedy spał, przeprowadzony został niespodziewany atak atomowy, którego obawiano się już od tak dawna. Waszyngton byłby oczywistym celem. A jeśli wszyscy członkowie Komisji zginęli w eksplozji atomowej, wszyscy którzy wiedzieli, że on, Farrow, śpi tutaj?

Farrowowi wyrwał się z ust jakiś nieartykułowany dźwięk. Nie mógł w to uwierzyć. Nie wolno mu pozwolić sobie, żeby w to uwierzył. Potykając się wybiegł, z ciemnego, zimnego schronu, szaleńczo usiłując udowodnić sobie samemu, że się myli.

Na ciężkim niebie powoli znikały resztki światła. Farrow zaczął wdrapywać się w górę zbocza, w kierunku wierzchołków niskich wzgórz, rozdygotany to wspiął się kawałek to zsunął się w dół. W końcu jednak stanął na szczycie i zaczął rozglądać się po szerokiej płytkiej Dolinie Pyumatuning. Patrzył i patrzył, aż do chwili kiedy z ciemnego nieba odpłynęło całe światło.

Wszystko znikło. Cała dolina, tak jak ją pamiętał, pełna była pól, farm i wiosek, ciężarówek, samochodów i autobusów, dalekich dymów i wysokich smukłych budynków Steel City. Wszystko to znikło.

Aż po samą linię horyzontu, rozciągał się potężny, niczym nie przerwany las, samotnie stawiający czoła nadchodzącej nocy. Nie było widać żadnych dymów, budynków, dróg, ani pól. Tylko wielkie drzewa, pustkowie tak dzikie, jakby nigdy nie tknęła go ręka cywilizacji.

– Eksperyment może zakończyć się niepowodzeniem…

Nie, pomyślał tępo Farrow. Test Operacji Świstak, nie zakończył się niepowodzeniem. On jedynie udał się zbyt dobrze, i smacznie sobie spał, kiedy nagła miotła atomowej zagłady przeczesała świat jaki znał. Miasta pełne ludzi stały się przeszłością i powrócił las, a on w swoim bunkrze spał i spał niemal bez końca.

Wiek? Dwa? Ile czasu potrzeba, aby wielkie drzewa wyrosły poprzez betonową nawierzchnię drogi?

W oczach Farrowa stanęły łzy. A więc taki był koniec wszystkich nadziei i marzeń ludzkości? Złamana, dotknięta zniszczeniem, w tej właśnie chwili, kiedy zaczęła sięgać w stronę innych planet?

Patrzył, modląc się o to, aby nie miał racji, modląc się o to, aby dojrzeć choć jedno znajome światło. Ale nie było niczego, poza ciemnością, a on wykonał nieprawdopodobny skok w czasie, tylko po to aby stanąć wobec końca ludzkiego świata.

Chmury się rozeszły i wyjrzało czyste niebo. Bezlitosne gwiazdy spoglądały na niego w dole, kiedy tak stał na ciemnym grzbiecie, przybity, mokry i zmarznięty.

Potem nagle Farrow usłyszał dziwny dźwięk i na północy zobaczył pionową smugę ognia, zmierzającą z ciemnego nieba w dół. Wyglądało to jakby jakiś potężny obiekt zbliżał się do Ziemi na skrzydłach ognia.

Rozdział 2

Nagłe przejście od rozpaczy do nadziei spowodowało, że Farrow zaczął dziko wrzeszczeć w stronę tej odległej smugi ognia, która zniknęła niemal natychmiast po tym jak ją dostrzegł. Krzyczał i wymachiwał rękoma, wzburzony i podniecony.

A więc jednak się mylił. Leżał w estywacji, we śnie przez długi czas, ale pomimo wszystko cywilizacja nie została zmieciona z powierzchni ziemi. Przecież ten ognisty obiekt, to mogła być tylko wielka rakieta, a to implikowało posiadanie technologii, jakie mogła mieć jedynie zaawansowana cywilizacja.

– Wyciągnąłem pochopne wnioski, zbyt szybko – powiedział sobie w duchu. – Ta dolina mogła zdziczeć z jakichś innych powodów, ale to wszystko co można powiedzieć.

Wszystkie jego myśli gorączkowo wybiegały teraz w stronę rakiety, którą zobaczył w oddali. Musi dostać się w to miejsce, gdzie wylądowała — to musiało być gdzieś w pobliżu brzegów jeziora Erie. Musi znaleźć tych ludzi, musi dowiedzieć się, co się stało ze światem.

Farrow ruszył biegiem w dół zbocza. Kiedy dotarł do obszaru usuwiska, noga poślizgnęła mu się w ciemnościach na błotnistej ziemi, i stoczył się kawałek po stoku, na łeb na szyję.

Pozbierał się i wstał, ale jego pierwsze szaleńcze podekscytowanie troszeczkę mu przeszło. Niezależnie od tego jak bardzo by tego pragnął, nie mógł na siłę pchać się nocą przez las. Musi zaczekać do rana.

W tej samej chwili uświadomił sobie również, jaki był słaby, roztrzęsiony i zmarznięty, poruszyły się w nim także pierwsze oznaki głodu. Do tej pory podtrzymywały go gwałtowne emocje, ale teraz reakcja na długą estywację i wybudzenie się z niej, uderzyła w niego z pełną mocą.

Farrow ruszył dalej w dół zbocza, do bunkra. Kiedy jednak wszedł do środka, panująca w nim ciemność i zimno były odstręczające.

Zmusił się do tego, by pomyśleć. Potrzebował pożywienia i ciepła. Jedzenie tutaj miał, wśród próbek testowych na półkach, stało kilkadziesiąt różnego rodzaju puszek. Korzystając z latarki zaczął grzebać pomiędzy rzeczami, aż w końcu znalazł zapałki. Potem rozerwał papierowe opakowanie z jednej z zapieczętowanych próbek.

Musiał pójść z powrotem na dół do lasu, po drewno. Latarka pomogła, ale zbieranie wilgotnych gałęzi, szło bardzo powolnie. A w dodatku przez cały ten czas prześladowało go ironiczne poczucie nierealności.

Przerwał pracę, kiedy z ciemności nocnych dobiegł do niego bardzo dobitny głos dzikiej natury wśród której się znajdował, chór długich, poszczękujących wyć.

Farrow stanął nasłuchując.

Czując ból całego ciała, wszedł z powrotem pod górę, z ładunkiem skłębionych mokrych gałęzi i zwalił je na kupę, tuż przed otwartymi drzwiami bunkra. Nawet przy użyciu papieru i zapałek, musiał kilkukrotnie próbować zanim udało mu się rozpalić ogień.

Ogień pomógł mu nieco. A mięso z jednej z puszek, otworzonej przy użyciu znajdującego się wśród próbek testowych noża, pomogło jeszcze bardziej.

Znów gdzieś z oddali dobiegły odgłosy dzikiego, poszczekującego chóru.

– To brzmi raczej jak psy, a nie jak wilki – pomyślał Farrow. – Czyżby dzikie psy?

Niespokojny wszedł z powrotem do bunkra. Miał tam dwa karabiny wzoru wojskowego i pudełka z nabojami. Stary Zimmer dołączył do próbek testowych najróżniejsze rzeczy, które mogły być potrzebne ludziom budzącym się po Operacji Świstak w jakiejś wojnie w

przyszłości. Wśród tego rodzaju potrzebnych rzeczy, musiała oczywiście znajdować się również i broń.

Zdawało się, że gaz Hanawalta nie miał żadnego wpływu ani na broń, ani na amunicję. Farrow włożył magazynek do jednego z karabinów i wrócił, by usiąść przy swoim ognisku.

Ciepło i pełny żołądek spowodowały, że poczuł się senny. Była w tym naprawdę spora doza ironii, pomyślał sobie. Chciało mu się spać, kiedy właśnie obudził się ze snu, który trwał…

Jak długo?

I co się stało ze światem, w tym czasie, kiedy on spał?

Desperacko wczepił się we wspomnienie rakiety. Jeśli istniały tutaj rakiety, nie mógł wszędzie panować powszechny rozkład i barbarzyństwo. Ponieważ rakiety, które w czasach przed rozpoczęciem jego snu, właśnie zaczęły zdobywać planety, nie mogły istnieć bez odpowiedniego zaplecza technicznego, które by je produkowało.

Farrow rozmyślał, dopóki niepostrzeżenie nie ześlizgnął się w drzemkę, siedząc i trzymając w ręku karabin. Kiedy się obudził, ogień już wygasł, a w dół zbocza spływało na niego światło słoneczne.

Nadzieje w nim wzrosły. Dzisiaj powinien pójść na miejsce, w którym wylądowała rakieta.

Pół godziny później, przedzierał się już przez las w kierunku północnym, niosąc w ręku strzelbę, a w zaimprowizowanym węzełku na plecach zapasowe naboje i puszki z jedzeniem.

Farrow podążał wzdłuż, niemal już niewidocznej autostrady. Zalegające pomiędzy drzewami odłamki pokruszonego betonu, tworzyły zdradzieckie podłoże. Było tam jednak stosunkowo rzadkie poszycie, a droga prowadziła go prostą trasą.

Doszedł do strumienia Pymatuning. Kamienne przyczółki skazywały miejsce, w którym kiedyś był tu most, ale sam most oczywiście zniknął. Po wiosce która kiedyś tu stała, także niemal nie było śladu, poza kilkoma porosłymi zielskiem fundamentami.

Ruszył dalej. Pamiętając o dzikich psach, trzymał karabin w pogotowiu. Robiło się coraz cieplej, i oceniając na podstawie listowia dębów i klonów, musiał być już późny maj.

Później, popołudniu, Farrow przekroczył niskie, pokryte lasem wzgórza, a następnie zatrzymał się. Pod nim rozciągała się piaszczysta równina, za którą widać było błękitny przestwór wielkiego jeziora. Na równinie jednak coś było.

Rakieta. Wznosiła się wysoko, srebrzysty gigant, chwytający promienie słońca. Obok trwała intensywna działalność, w odległości kilkuset jardów kręcili się ludzie z maszynami, a kilkaset jardów dalej zbliżała się inna grupa ludzi, zmierzająca w stronę rampy prowadzącej w górę, do wielkiego statku.

Farrow niemal załkał z ulgi. To było coś więcej, niż tylko rakieta. To był widoczny znak, że ciągle gdzieś było ze światem dobrze, nawet jeśli ta dolina zupełnie zdziczała, a znajdujące się w niej wioski znikły.

Podniósł głos, krzycząc szaleńczo do znajdujących się na dole ludzi:

– Zaczekajcie na mnie! Nie odlatujecie beze mnie… zaczekajcie…!

Kiedy wybiegł spomiędzy drzew i ruszył w dół zbocza, zobaczył odwracające się w swoją stronę zaskoczone twarze.

Dwóch mężczyzn znajdowało się bliżej niego niż pozostali. Wyglądali na porządnych, spokojnych ludzi, byli opaleni, nosili na sobie szare, wyglądające na satynowe, kombinezony, o kroju podobnym do jego własnego. Wpatrywali się w Farrowa, który potykając się zmierzał w ich kierunku.

Wtedy jeden z nich wyszarpnął zza pasa broń o krótkiej lufie i uniósł ją w górę. Powietrze przeszył głośny jak grom trzask i w jego stronę pomknął złośliwy niewielki błysk postrzępionego światła.

Farrow podczas swojego nierównego biegu potknął się o coś, i to uratowało mu życie. Zachwiał się nieco i przechylił na bok, a błysk energii, elektryczności, czy cokolwiek to było, minął go o cale, pozostawiając po sobie zapach ozonu, a następnie wypalonej trawy.

– Dlaczego – powiedział, zszokowany i sparaliżowany przez taką reakcję, – dlaczego, chyba nie rozumiecie…

Drugi z mężczyzn również już wyciągał swoją broń, a pierwszy ponownie celował uważnie do Farrowa.

Instynkt samozachowawczy przełamał paraliż Farrowa. Oni najzwyczajniej próbowali go zabić. Podrzucił karabin do ramienia i wystrzelił.

Człowiek z rakiety, celujący z nieznajomej mu broni, rzucił ją i chwycił się za prawe ramię z jękiem bólu. Drugi z mężczyzn zamarł w bezruchu w trakcie wyciągania swojej broni, wytrzeszczając w zdumieniu oczy na Farrowa, co dokładnie odpowiadało temu, co sam Farrow poczuł kilka chwil wcześniej.

Inni ludzie z rakiety, którzy wycofali się w międzyczasie poza srebrzysty kadłub statku, również zdawali się być porażeni zdziwieniem, wywołanym przez ostry odgłos jego karabinu.

Zanim ich zdziwienie minęło, Farrow odskoczył z powrotem pod przykrycie drzew. Chwile później skoczyły za nim długie smugi skwierczącego światła i wśród drzew rozeszły się grzmiące echa.

– Próbują mnie *zabić*! – wyszeptał do siebie Farrow.

Cała ulga, jaką odczuwał wcześniej, zupełnie uleciała, a ta zmieniona Ziemia ukazała swoją jeszcze bardziej tajemniczą i niebezpieczną twarz, niż w ciemnościach nocy.

Wstrząśnięty wyglądał ostrożnie spoza drzew. Na dole, ludzie ze statku zbiegali się razem ze wszystkich stron. Z rakiety wyszedł jakiś mężczyzna o włosach koloru piasku i pewnym siebie, władczym kroku, śpiesząc w stronę rannego człowieka i jego towarzysza. Ranny głośno krzyczał.

– Barth, to jakiś dzikus, z któregoś z plemion, z jakąś bronią strzelającą pociskami! *Nową* bronią strzelającą pociskami!

Słysząc te krzyki, Farrow poczuł jeszcze większe zdziwienie niż przedtem. Ci ludzie mówili po angielsku. To byli jego rodacy, lub ktoś im pokrewny. A pomimo tego, próbowali go zabić, kiedy tylko go dostrzegli. Co się stało ze światem?

Na dole toczyła się krótka ożywiona dyskusja, a potem Barth, człowiek o włosach w kolorze piasku, wykonał rozkazujący gest. Ubrani na szaro ludzie zaczęli się rozpraszać i posuwać tyralierą naprzód, w górę zbocza, w kierunku drzew.

Farrowa ogarnęła panika. Polowali na niego. A instynkty ofiary polowania pchnęły go do biegu pomiędzy drzewami, z powrotem w głąb lasu. Kimkolwiek by nie byli, jakiekolwiek mieliby powody do swojej wrogości, nie mógł dać się złapać.

Ruszył wzdłuż stoku, trzymając się miejsc rzadziej porośniętych przez poszycie. Niemal natychmiast usłyszał tuż za sobą odgłos szybkich kroków.

Farrow obrócił się dookoła, unosząc karabin. Po raz drugi dzisiaj, stanął na chwilę zszokowany tak mocno, że aż znieruchomiał.

To nie był jeden z odzianych na szaro ludzi z rakiety, którzy podążali za nim.

To była ciemnowłosa dziewczyna o jastrzębio dzikiej, śniadej twarzy, ubrana w skórzaną kurtkę i legginsy, oraz niosąca jakiś przedmiot z drewna i metalu, którego Farrow chwilowo nie potrafił zidentyfikować.

– Nie tędy! – zawołała przyciszonym głosem. – Podchodzą w linii, wzdłuż całego zbocza i odetną cię od lasu.

Farrow nadal trzymał karabin skierowany w jej stronę, i twarz dziewczyny rozbłysła wyrazem rozdrażnienia.

– *Nie jestem* jedną z nich! – powiedziała. – Mogłabym bez trudu wsadzić bełt w twoje plecy, kiedy przebiegałeś koło mnie.

Z dziwnym uczuciem, Farrow rozpoznał teraz rzecz, którą niosła. To była kusza, z łuczyskiem wykonanym z wyglądającej na starą, sprężynowej stali i małym ale ciężkim stalowym bełtem, gotowym do wystrzelenia.

– Kim jesteś? – wyszeptał.

– Jestem Jen i jestem Ziemką, a ty musisz też być jednym z nas, ponieważ widziałem jak strzeliłeś do tego Marsjanina – powiedziała szybko. Jej czarne oczy płonęły podnieceniem, kiedy spoglądała na karabin. – Tylko skąd wziąłeś nową broń na pociski?

Cała jej przemowa przeszła Farrowowi mimo uszu, poza jednym słowem. To słowo uderzyło go z siłą wręcz oszałamiającą.

– Marsjanina? – powtórzył z niedowierzaniem w głosie. – Nazwałaś tych ludzi z rakiety *Marsjanami*? To jakieś szaleństwo! Oni są ludźmi, takimi jak my, mówią po angielsku…

– A niby jak inaczej mieliby mówić? – dopytywała się tajemniczo. – Szpiegowałam ich właśnie, i kiedy…

Przerwała nagle, tak jakby przeszkodził jej jakiś dźwięk, którego Farrow nie był w stanie dosłyszeć, a potem pośpiesznie odwróciła się i przebiegła wzrokiem po drzewach. Potem powiedziała do niego z naciskiem:

– Czy w końcu się ruszysz? Ścigają nas i za kolejną minutę zostaniemy odcięci!

Naglący ton głosu, napięty wygląd jej ostrej, zbrązowiałej na otwartym powietrzu twarzy, przekonał Farrowa o bliskości niebezpieczeństwa. Jeszcze nie wiedział kim była, nie wiedział również kim byli ci inni, ale zdawał sobie sprawę, że oni próbowali go zabić, i to mu wystarczało.

Ruszył biegiem. Dziewczyna, Jen, biegła razem z nim, a potem przed nim, wybierając drogę w zbijającym z tropu podobieństwie leśnych ścieżek.

Z zielonego mroku, niepokojąco blisko za nim, dobiegł ostry okrzyk:

– To rozkaz Bartha! Nie zabijać go… jeszcze nie!

Rozległy się przenikliwe gwizdki i nieustannie biegnąc, Farrow zdał sobie sprawę, że ci których Jen nazwała Marsjanami, zbliżają się do nich od tyłu.

Rozdział 3

Jen pomknęła ze zdwojoną szybkością, zrywając się jak jeleń, i Farrow stwierdził, że z trudem jest w stanie za nią nadążyć.

Kiedy biegli, rzuciła mu szybkie, zatroskane spojrzenie.

– Próbują zmusić nas do skierowania się w stronę jeziora. Tam by nas złapali.

Farrow zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ponieważ teraz gwizdki rozbrzmiewały na południe od nich. Byli w pułapce, której szczęki wkrótce miały się zamknąć, i jedynie szybkość mogła ich na czas z niej wydostać. Nie wierzył jednak, że długo uda mu się utrzymać narzucone tempo.

Jego płuca pracowały z całych sił, serce waliło mu jak młotem, ale nielogiczna małostkowa próżność nie pozwalała mu przyznać się do tego, że nie jest w stanie utrzymać się za dziewczyną. Zmusił się do dalszego biegu, zupełnie mechanicznie przebierając nogami, dopóki świat nie zaczął mu się rozmywać przed oczyma. Wtedy usłyszał, jak Jen mówi do niego, tak jakby z dużej odległości:

– Ominęliśmy ich, możemy trochę zwolnić.

Ciągle biegła dalej, ale ze zmniejszoną szybkością. Minęło kilka chwil, zanim Farrow zdołał wysapać z siebie pytanie:

– Wyruszą za nami w pościg?

Skinęła przytakująco głową, z zatroskaniem.

– Tak. To przez tę twoją nową broń na pociski. Będą chcieli się dowiedzieć skąd pochodzi, kto ją zrobił i ile sztuk istnieje.

Słońce już chyliło się ku zachodowi. Światło przebijało się przez drzewa i zarośla poziomymi, załamującymi się smugami. Jen skręciła ostro w lewo.

– Nie mogę pójść prosto w kierunku wioski mojego plemienia – wyjaśniła. Poprowadzimy ich najpierw trochę na południe.

Nie padło już ani jedno słowo. Nadciągnął zmrok i zaczął się pogłębiać. Farrow podążał za, wydawałoby się niezmordowaną, odzianą w skóry postacią, przez gęstniejącą ciemność która zdawała się zapadać na zawsze. W pewnej chwili przed nimi poderwał się jeleń, wypłoszony z ukrycia. Nie słyszał w tyle już żadnych gwizdków.

W końcu Jen zaprowadziła go w niewielką gęstą kępę drzew. Jego nozdrza zaatakowała woń kwiatów, i z nagłym ukłuciem bólu, Farrow uświadomił sobie, że to kwiaty jabłoni, oraz że zarośla były w przeszłości jakimś sadem, który obecnie zdziczał. Usiedli na wilgotnych liściach i przez kilka minut pozostawali w ciszy, uważnie nasłuchując. W końcu Jen powiedziała:

– W ciemności nie mogą nas tropić. Ale rankiem ruszą za nami. – Dodała jeszcze: – Żadnego ognia. Mam suszone mięso.

– Mam coś lepszego niż to – wymamrotał Farrow i ze znużeniem wyciągnął ze swojego węzełka puszkę, otwierając ją przy pomocy noża.

Dobiegł do niego jej głos, przesiąknięty zaskoczeniem graniczącym ze strachem.

– Nowa broń strzelająca pociskami, a teraz jeszcze to! Nikt nie widział takich rzeczy od stu lat!

Usłyszane słowa uderzyły Farrowa jak dźwięki trąb sądu ostatecznego, odzierając go z ostatnich skrawków nadziei, które próbował jeszcze hołubić.

„Od stu lat…”

Wszystkie dowody, które miał przed oczyma, ale którym próbował zaprzeczać, zdziczały charakter opustoszałej Ziemi, las który porastał drogi i miasta… Wszystko to otrzymało właśnie ostateczne potwierdzenie. Operacja Świstak przeniosła go w czasie na przestrzeni całego wieku.

– Posłuchaj – powiedział ochrypłym głosem Farrow. – Ta broń ma już ponad sto lat, podobnie jak ja. Wiem, że trudno w to wszystko uwierzyć, ale…

Mówił urywanym głosem, próbując opowiedzieć jej niewiarygodną historię swojego obudzenia, nie mogąc w ciemności dojrzeć jej twarzy. Kiedy skończył, zapadła cisza.

Potem Jen odpowiedziała mu w zamyśleniu.

– Wiedziałam, że nie możesz być zwykłym człowiekiem z jakiegoś plemienia. A nie mogłeś być także Marsjaninem, ponieważ nie ścigaliby cię teraz tak zawzięcie. Ale to jest takie dziwne… człowiek sprzed Wojny…

– A więc jednak była wojna… zagłada atomowa? – zawołał Farrow.

Potwierdziła.

– Tak. Przyszła zupełnie nagle. Jeden kraj uderzył na drugi, i nagle niebo wypełniło się latającymi bombami, które w trakcie jednego dnia i jednej nocy zrównały z ziemią tysiące miast i miasteczek. Tak… to właśnie była Wojna.

Farrow pomyślał sobie otępiały, że jednak miał rację, że właśnie z tego powodu Zimmer, ani nikt inny nigdy nie pojawił się, aby obudzić go ze snu.

Jen opowiadała dalej w ciemności, przyciszonym głosem.

– Wielkie bomby przyniosły ze sobą truciznę, tak przynajmniej mówią. Truciznę, która zawisła w powietrzu i rozeszła się wszędzie po całej północnej półkuli Ziemi, powoli zabijając tych, którzy zdołali uniknąć wybuchów.

– Opad radioaktywny – wymamrotał Farrow, ale to słowo nic dla niej nie znaczyło.

– Kilkuset ludzi uniknęło zagłady, w szczytowych partiach najwyższych gór, na zachodzie. Później, kiedy trucizna przestała działać, zeszli z gór i ponownie rozprzestrzenili się na wschód. Zaczęli żyć w plemionach. To mój lud.

Dodała z nagłym gniewem.

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że nie mamy broni na pociski, ani metalowych puszek z żywnością? Mieliśmy je, do pewnego czasu. Ale kiedy wszystkie zostały zużyte, to nie było nowych, a my nie potrafiliśmy robić takich rzeczy.

To również był w stanie zrozumieć. Aby wytwarzać narzędzia i maszyny na potrzeby cywilizacji, potrzeba było wielu specjalistów. A kiedy zniknęły wielkie miasta, i ocalało jedynie niewielu przypadkowych wybrańców losu, nie pozostało wśród nich wystarczająco wielu ludzi posiadających takie wyspecjalizowane umiejętności, aby rozpocząć wszystko od początku.

Jej silne palce nagle zacisnęły się na jego ramieniu.

– Musiałam cie dotknąć, żeby uwierzyć! Człowiek z czasów dawnych miast…

Farrow przerwał jej pytaniem, które zdominowało jego wstrząśnięty umysł.

– Ale ta rakieta była przecież wytworem zaawansowanej cywilizacji! Skąd więc ona się wzięła?

– Z Marsa.

– O nie, to niemożliwe! – zaprotestował Farrow. – To nie byli obcy, to byli ludzie, tacy jak my, mówili nawet naszym językiem. Nazywanie ich Marsjanami, to czysty wymysł!

– Oni są Marsjanami, ponieważ urodzili się na Marsie – odparła Jen. Jej głos nabrał gorzkiego odcienia, kiedy dodała: – Ale wyglądają tak samo jak my, i mówią tak samo jak my, ponieważ kiedyś byli ludźmi z Ziemi.

Farrow był już kompletnie oszołomiony.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

– W czasach tuż przed Wojną – wyjaśniła Jen, – Ziemianie właśnie zaczęli wysyłać statki — rakiety, jak ty je nazywasz — na Marsa.

– Wiem wszystko na ten temat – powiedział Farrow. – Znaleziono nadające się do zamieszkania oazy, parę dziwnych form życia w kosmosie. Ale żadnych *ludzi*.

– Tak też zostało powiedziane – zgodziła się z nim. – Ale po uderzeniu Wojny, kiedy trucizna unosiła się w powietrzu na całej północnej półkuli Ziemi, na dalekim południu żyli ludzie, którzy wiedzieli że w miarę upływu czasu trucizna będzie dryfować w ich stronę i ich zabije. A więc zdecydowali się uciec. Mieli rakiety. W czasie tych miesięcy zanim dotarła do nich trucizna, zbudowali ich więcej. I tak wielu z nich, jak to tylko było możliwe, opuściło Ziemię i poleciało rakietami na Marsa.

Farrow był zupełnie ogłupiały. To było coś, czego zupełnie sobie nie wyobrażał. A jednak to mogło być możliwe. Wielu ludzi mogło w ten sposób uciec, zanim dotarł do nich ogólnoświatowy opad radioaktywny.

– Ludzie? Jacy ludzie? – dopytywał się. – Australijczycy? Południowi Afrykanie?

– A kto jest teraz w stanie podać ich nazwę? – odparła Jen. – Na Marsa polecieli tylko ci wybrani przez naukowców, którzy zaplanowali ucieczkę. Planistów. Pozostawili wszystkich pozostałych na Ziemi, żeby umarli. Ale *nie* wszyscy tutaj umarli… nasi przodkowie w wysokich górach, przetrwali. A potem, kiedy trucizna zanikła, zeszli z gór na dół, rozprzestrzenili się i rozrośli, tworząc plemiona.

Jej głos ponownie przybrał gorzką nutę.

– W czasie tych całych stu lat, ci którzy uciekli na Marsa żyli tam bezpiecznie przez trzy pokolenia. Potem, jakiś rok temu, niektórzy z nich przylecieli z powrotem z Marsa w rakiecie, aby sprawdzić warunki panujące na Ziemi. Byli zadziwieni, że my, członkowie plemion przetrwaliśmy. Powiedzieli nam, że pomogą wszystkim osiągnąć ten sam poziom cywilizacji, jaki kiedyś panował na Ziemi.

Roześmiała się bez śladu wesołości w głosie.

– Uwierzyliśmy im. Rozmawialiśmy z nimi oraz z ich przywódcą, to był ten sam Barth, który przewodzi im teraz. Dowiedzieliśmy się jednak, że nas okłamali. Nie mieli zamiaru pomóc nam w odzyskaniu cywilizacji! Powrócili tutaj wyłącznie w poszukiwaniu surowców i rud, które są rzadkie na Marsie, i wykorzystali nas jedynie do zdobycia informacji. Kiedy ich o to oskarżyliśmy, wybuchła kłótnia, i użyli swojej broni aby zabić wielu z nas. Czy tak trudno się dziwić, że nienawidzimy tych pochodzących z Ziemi Marsjan?

Farrow rozumiał jej oburzenie i podzielał je. Spowodowane to było nie tylko faktem, że ci „Marsjanie" próbowali go zabić, jedynie z tego powodu, że myśleli iż pochodził z któregoś z plemion. Chodziło o coś więcej niż tylko o to, aby im za to odpłacić.

Wyobraził sobie bowiem Ziemię, na której cywilizacja została zniszczona, i tych ludzi walczących o jej ponowne przywrócenie. A ci, którzy uciekli na Marsa i żyli bezpiecznie, zamiast pomóc ludziom z Ziemi w szczęśliwym powrocie, przybyli tutaj wyłącznie w celu bezlitosnego poszukiwania własnej korzyści.

– Najbardziej jednak mnie intryguje, dlaczego ci wszyscy ludzie na Marsie nie wrócą na Ziemię, teraz kiedy już wiedzą, że radioaktywna trucizna zniknęła – powiedział.

– Nie wiemy dlaczego – odparła Jen. – Początkowo powitalibyśmy ich z otwartymi rękoma. Ale oni chcieli nas tylko wykorzystać i zdominować, a więc teraz miedzy nami jest wojna.

– W tej walce jestem po waszej stronie – ciepłym tonem zadeklarował Farrow. – Zrobię wszystko, co tylko będę mógł, aby pomóc twoim rodakom w walce o postęp.

– Możesz naprawdę bardzo wiele pomóc – powiedziała Jen. – Ty, człowiek z przeszłości, mógłbyś… – Nagle przerwała w pół słowa, a następnie chwyciła go za rękę. – Posłuchaj tylko!

Po chwili wyszeptała:
– Poszukują nas po lesie w tym kierunku. Ale to niemożliwe, żeby w czasie nocy szli naszym tropem… to musi być jedynie na chybił trafił.
Farrow natychmiast zapomniał o szerszych uwarunkowaniach, skupiając się ściśle na swoich osobistych problemach. Zaproponował:
– Może lepiej to sprawdźmy?
Jen popchnęła go z powrotem na ziemię.
– Nie. To tylko poszukiwania na ślepo. To niemożliwe, żeby wiedzieli, że jesteśmy tutaj. Leż nieruchomo.

Leżał więc nieruchomo na wilgotnych liściach, skulony w ciemnościach przy jej boku, czekając zdawało się bez końca. Potem przez gęste zarośla dzikich jabłoni, w których sercu leżeli, spostrzegł błysk światła.
Było coraz silniejsze i wyraźnie zbliżało się do nich, aż w końcu usłyszał odgłosy przedzierającej się przez las grupy ludzi, trzaski łamanych gałązek, szuranie butów po trawie. Wydawało się, że poszukiwacze miną zarośla w bliskiej odległości, i Farrow poczuł ostrą ulgę.
Ulga była jednak krótkotrwała. Usłyszał jak poszukujący zatrzymują się, do jego ucha dobiegły szmery rozmawiających głosów, a następnie usłyszał jak ruszają prosto w stronę zarośli. Niesione przez nich latarki, rzucały krzyżujące się smugi jasnego światła, poprzez kwitnące sękate drzewa. Farrow i Jen wtulili się zupełnie w ziemię.
Nagle rozległ się twardy głos.
– No dobrze, wiemy że jesteście w tych zaroślach… hej wy dwoje. Rzućcie broń i wychodźcie stamtąd!
W migotliwych błyskach światła Farrow zobaczył, że na twarzy Jen pojawia się wyraz kompletnego oszołomienia. Wyszeptała mu do ucha:
– W jaki sposób mogli nas tutaj wyśledzić? Skąd oni wiedzą, nawet kim jesteśmy? To po prostu niemożliwe…
Również Farrowowi wydało się fantastyczne, że odnaleziono ich tak łatwo, a nawet że w ogóle to się udało.
– Macie trzy minuty, a potem przeczeszemy zarośla ogniem z broni energetycznej – ostrzegł ich twardy głos z zewnątrz.
Jen zerwała się, chwytając za kuszę.
– To Barth, niech będzie przeklęty! Widziałam go, kiedy on i jego ludzie zabili mojego brata, ostatnim razem kiedy przyleciała rakieta! Ja…
– Nie masz najmniejszych szans – powstrzymał ją Farrow. – Słuchaj, wpakowałaś się w to, próbując mi pomóc w ucieczce. Mam zamiar wydostać cie z tego. Wyjdę do nich z zarośli, a ty spróbuj wyślizgnąć się w innym kierunku, kiedy będę to robił.
Jen zaczęła protestować, ale on powiedział z naciskiem:
– Musisz wrócić do swoich rodaków i powiedzieć im o wszystkim, a to jest jedyny sposób w jaki możesz to zrobić.
– Ale ty… – odparła Jen.
Odepchnął ją lekko.
– Ze mną wszystko będzie w porządku, potrzebują mnie żywego. Ruszaj już.
Nie dając jej czasu na dalsze protesty, Farrow zaczął przedzierać się przez zarośla w stronę świateł.
– Wychodzę! – zawołał głośno. – Ale chcę gwarancji, że nie zostanę zastrzelony zaraz jak tylko się pokażę.

– Masz moje słowo – zabrzmiał głos Bartha. – Ale nie wychodź z tą bronią kulową. Zostaw ją tam.

Farrow sprzeciwił się temu, głośno protestując i hałaśliwie przeciskając się przez krzaki i gałęzie drzew, aby zagłuszyć odgłosy ucieczki Jen. Ale nagle usłyszał inny głos dobiegający z zewnątrz.

– Barth, T'laa mówi, że dziewczyna ucieka z drugiej strony!

– Łapać ją – rzucił ostro Barth.

Błyskawicznie Farrow odwrócił się i pobiegł z powrotem przez zarośla, drogą którą udała się Jen. Cierniste gałęzie chłostały jego twarz, a wrzosy czepiały mu się do nóg, ale biegł przed siebie, dopóki nie usłyszał krzyku Jen, spowodowanego bólem lub gniewem.

Wybiegł z zarośli i zobaczył ciemny kształt dziewczyny, walczący z dużo większą męską postacią. Farrow podbiegł do nich. Nie ośmielił się strzelać, ale odwrócił trzymany karabin i wbił jego kolbę w środek męskiego kształtu. Tamten wydał z siebie ciężkie westchnięcie i powoli siadł na ziemi.

Jen krzyknęła ostrzegawczo, i w tej samej chwili dwa ciężkie ciała trafiły Farrowa z tyłu i zbiły go z nóg. Kiedy uderzył o ziemię, karabin wyleciał mu z ręki. Wściekły z powodu niepowodzenia, dźgnął łokciem w tył, chrupnęło i usłyszał skrzeczenie.

Wtedy jednak coś mocno walnęło go w kark, i Farrow stracił zainteresowanie całym światem. Padł jak ścięty, a potem tylko czuł jak ktoś go odwraca, a następnie pojawia się światło, świecące mu prosto w oczy i zobaczył kwadratową twarz Bartha, spoglądającego na niego w dół ze zmrużonymi brwiami.

Obok Bartha stał jakiś inny człowiek, człowiek który niósł na ramionach, na wpół wiszące, na wpół siedzące, stworzenie jakby wprost z sennego koszmaru. Było ono rozmiarów dużego szympansa, ale jak na ziemskie zwierzę, miało za dużo rąk i nóg, a na jego dziwnej, porośniętej futrem, podobnej do lemurzej twarzy, widniały wielkie, okrągłe, patrzące żałosnym wzrokiem, czarne oczy, skierowane w dół, na Farrowa.

– Dobra robota, T'laa – powiedział Barth do stworzenia, ale ono nie odpowiedziało.

Farrowowi wydawało się, że cały świat wokół niego zaczyna wirować i rozmywać się, jedynym co pozostało to te wielkie, nieziemskie, świecące, wpatrzone w niego oczy. Stracił przytomność.

Rozdział 4

Po obudzeniu się, Farrow zobaczył przed nosem gładką metalową ścianę. Znajdowała się jedynie kilka cali od niego. Leżał na wąskiej koi, na nadmuchiwanym materacu, a gdzieś z tyłu padało na niego ponure białe światło.

Odwrócił się, a potem zeskoczył z koi na zieloną plastikową podłogę, z zaciśniętymi pięściami, wstrząsany gorącym gniewem. Znajdował się w małym metalowym pomieszczeniu bez okien, z wiszącym na suficie dyskiem sztucznego oświetlenia. Naprzeciw niego stał człowiek. Był to młody, barczysty mężczyzna o piaskowych włosach i twardych niebieskich oczach, ubrany w szary kombinezon. Roztaczał wokół siebie atmosferę pewności siebie i siły, zarówno ciała jak i umysłu. Farrow już go wcześniej widział. To był przywódca, którego ludzie z załogi rakiety nazywali Barthem.

Jeden z „Marsjan", tych którzy uciekli z Ziemi sto lat temu, w dniu katastrofy, a teraz powrócili tutaj, ale nie po to aby pomóc zmagającym się ludziom, ale dla swoich własnych egoistycznych celów! Brutalna arogancja tego młodego przywódcy, pasowała do tego co Farrow słyszał o tych tak zwanych Marsjanach. Poczuł do nich wrogość, która pogłębiała jego determinację, aby nie pozwolić im na zniweczenie walki ludzi z Ziemi o powrót do cywilizacji.

– Jesteś w naszej rakiecie – powiedział do niego Barth. – Poszedłeś spać na nieco dłuższą chwilę.

– Gdzie jest Jen? – dopytywał się Farrow.

– Ta dzikuska? – spytał Barth. – Wszystko z nią w porządku.

– Naprawdę? – odparł Farrow. – A więc pozwólcie mi się z nią zobaczyć.

Oczy Bartha leciutko się zwęziły.

– Słuchaj no ty, nikt nie będzie do mnie mówił takim tonem. – Potem jednak wzruszył ramionami i dodał: – Jeżeli to pocieszy twój skołatany umysł, możesz ją sobie zobaczyć.

Otworzył drzwi, a Farrow czując się słabo, niepewnie i boleśnie świadom obrzydliwego łupania w tyle głowy, podążył przez nie za nim.

Barth poprowadził go bardzo wąskim korytarzem, zakrzywiającym się jak fragment pierścienia, i otworzył inne drzwi. Nie wszedł jednak do środka.

– Tutaj jest. Śpi. Musieliśmy jej dać zastrzyk ze środkiem uspokajającym.

Farrow zajrzał do małej kabiny, bliźniaczo podobnej do tej, którą właśnie opuścił. Jen leżała na koi z zamkniętymi oczyma. Miękka skórzana tunika na jej piersi, unosiła się i opadała, w równym rytmie.

Wtedy Farrow zobaczył, kto jeszcze był razem z nią w tym małym pomieszczeniu, i poczuł jak włosy jeżą mu się na karku.

Na stołku, w pobliżu głowy śpiącej dziewczyny, przykucnęła postać z koszmaru. Porośnięta futrem, na ciele nie większym niż chłopca, jej ręce i nogi rozwidlały się tuż poza miejscem połączenia z korpusem, tak że zdawało się iż ma osiem członków zamiast czterech. Twarz miała zwróconą w stronę dziewczyny, a jej wielkie, pozbawione źrenic, czarne oczy, utkwione były prosto w nią. Było to, to samo dziwne stworzenie, o podwójnej liczbie członków, które przelotnie widział w lesie, kiedy odpływał w ciemność.

W tym całkowitym zaabsorbowaniu obcej istoty Jen, było coś tak bardzo niegodziwego, że Farrowa opanowało poczucie zgrozy. Ruszył naprzód, wpadając do pomieszczenia.

– Co to ma znaczyć? Co to z nią *robi*? – zawołał.

Stworzenie ostrym ruchem odwróciło głowę w jego stronę. Wpadający do środka Farrow, uderzony spojrzeniem tych nieludzkich oczu, poczuł nagłą obawę.

Czyjaś ręka chwyciła go za kołnierz z tyłu głowy i Farrow poczuł, że ktoś wlecze go szarpnięciem do tyłu. Barth odciągnął go za kołnierz, tak jakby był dzieckiem.

– Zostaw T'laa w spokoju – powiedział Barth.

Taki obraźliwy sposób potraktowania, spowodował przeniesienie gniewu Farrowa z pozaziemskiego stworzenia, przykucniętego na stołku, na mężczyznę.

Gwałtownie okręcił się dokoła i rozwścieczony uderzył pięścią. Barth zatoczył się do tyłu. Na jego twarzy również pojawił się gniew. Odzyskał równowagę i zrobił krok do przodu. Farrow uderzył go ponownie, ale cios nie miał w sobie odpowiedniej siły. Był za bardzo wyczerpany.

Barth chwycił go i walnął nim o ścianę, wybijając mu niemal całe powietrze z płuc. Farrow zamachnął się na niego, ale tym razem tak słabo, że Barth pogardliwie zignorował uderzenie.

– T'laa nie zrobi dziewczynie żadnej krzywdy – powiedział Barth. – Czy teraz będziesz zachowywać się rozsądnie?

– Mam być rozsądny, kiedy wy próbowaliście mnie zabić? – rzucił mu Farrow.

– Nasi strażnicy byli trochę nadgorliwi – przyznał Barth. – Myśleli, że jesteś dzikusem z któregoś z plemion. Ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że nie możesz być jednym z nich.

Wskazał ręką na metalowe krzesło, przynitowane do ściany.

– Jeżeli tak bardzo się niepokoisz o tę twoją dzikuskę, możesz zostać tutaj. Ale siadaj. Mam kilka pytań.

Farrow wpatrywał się w niego przez chwilę z ogniem w oczach, ale fala słabości, jaka przebiegała przez jego ciało, spowodowała u niego drżenie kolan. Podszedł więc do krzesełka i usiadł. Barth stanął nad nim i popatrzył na niego z góry, jasnym, badawczym spojrzeniem.

– Nie jesteś z żadnego z plemion – powtórzył. – Biorąc pod uwagę twoją broń i rzeczy jakie miałeś w swoim węzełku, nie mógłbyś być. Ale w takim razie *kim* jesteś? Skąd się tutaj wziąłeś?

Farrow popatrzył na niego do góry.

– Który mamy obecnie rok?

Barth odpowiedział:

– Oczywiście 2084.

– Urodziłem się w 1945 roku – powiedział Farrow.

Ze znużeniem oczekiwał głośnych okrzyków niedowierzania, jakie teraz powinny nastąpić. Po chwili ostro spojrzał w górę.

Na twarzy Bartha nie było widać żadnego zaskoczenia, w ogóle! Ten fakt tak zdumiał samego Farrowa, że jego gniew troszeczkę opadł.

Barth dopytywał się dalej:

– Jak to wyjaśnisz?

Farrow zdenerwowany pewnością siebie swojego oponenta, rozpoczął urywane wyjaśnienia dotyczące Operacji Świstak. Uświadomił sobie jak niewiarygodnie musi brzmieć jego historia.

Kiedy skończył, Barth odwrócił się i odezwał się do porośniętego futrem stworzenia, które przycupnęło na stołku.

– Miałeś rację, T'laa. Jego historia zgadza się z tym, co wydobyłeś z jego umysłu.

Stworzenie na stołku odpowiedziało, seplenącym, niewyraźnym głosem, który powodował, że znajome angielskie słowa, zabrzmiały jak zupełnie obcy język.

– Tak. Główny zarys był bardzo wyraźny.

Kiedy Farrow gapił się w osłupieniu, Barth zapytał stworzenie, które nazywał T'laa:
– A co wyciągnąłeś z dziewczyny?
T'laa wykonał swoimi wieloma kończynami ruch przypominający wzruszenie ramion.
– Nie za wiele. Należy do plemienia, którego siedziby koncentrują się wokół starej wioski w lesie, pięćdziesiąt mil na zachód stąd. Będzie ich tam około dwóch tysięcy. Spostrzegli lądowanie rakiety i wysłali szpiegów, aby się jej przyjrzeli. Ona była jednym z nich. Planują zaatakować rakietę.
Szczęki Bartha zacisnęły się w okrutną linię.
– Tak też myślałem. Mamy dla nich małą niespodziankę.
Farrow wybuchnął.
– Na miłość Boską, co to za stworzenie? Co ono robi, czyta w myślach?
– Można by tak powiedzieć – odparł Barth. – T'laa jest jednym z Ibimów, najwyżej rozwiniętej formy życia na Marsie. Jego rasa ma pewne zdolności parapsychiczne.
Farrow powoli zaczynał rozumieć.
– A więc to w taki sposób mogliście nas tak szybko wyśledzić w lesie.
Barth posłał mu lodowaty uśmiech.
– Tak. W takich sprawach Ibimowie są całkiem przydatni. Właśnie dlatego zabraliśmy tym razem jednego z nich na Ziemię.
– Ale przecież wy – powiedział Farrow, wpatrując się w niego, – wy tak naprawdę *nie jesteście* żadnymi Marsjanami. Jen opowiadała mi, że wasi przodkowie uciekli na Marsa z Ziemi, po wojnie. Czy planujecie teraz przenieść się z powrotem na Ziemię?
Pytanie dotknęło chyba jakiegoś czułego punktu. Barth bowiem spojrzał na niego z ogniem w oczach i odpowiedział gniewnie:
– To ja tutaj jestem od zadawania pytań, Farrow. Później dowiesz się więcej o nas… jeżeli będziesz żył.
W reakcji na jego władczy ton przez Farrowa przebiegły igiełki oburzenia i sprzeciwu. Jeśli Barth był reprezentatywnym przykładem pochodzącego z Ziemi społeczeństwa Marsa, Jen miała co do nich absolutną rację.
Dlaczego jednak ci „Marsjanie" z takim gniewem reagowali na każde pytanie o możliwość masowego powrotu ich rodaków na Ziemię? Musiała w tym tkwić jakaś zagadka, pomyślał sobie Farrow.
– Przespałeś Wojnę i całe stulecie po jej zakończeniu na skutek działania gazu – powiedział Barth. – T'laa wydobył to z twojego umysłu. A jednak nie mamy żadnych zapisów na temat opracowania takiego gazu przed Wojną i ewakuacją.
Farrow odparł:
– Informacje o gazie Hanawalta były ściśle tajne. Miał być przeznaczony do wykorzystania w części naszego systemu obrony. A sam Hanawalt i wszyscy pozostali zaangażowani w Operację Świstak musieli zginąć, ponieważ w przeciwnym przypadku by mnie obudzili.
Barth stwierdził z zamyśleniem:
– Wysłaliśmy ludzi do krypty w której spałeś, i przywieźli z powrotem znajdujące się tam rzeczy, ale nie było tam żadnych informacji o tym gazie. Czy znasz może jego formułę?
Farrow szybko się zastanawiał. Bardzo dobrze pamiętał podstawy chemiczne formuły. Nie miał jednak zamiaru dawać tym „Marsjanom" niczego, co mogło by im pomóc w walce z rodakami Jen. Czuł lojalność w stosunku do ludzi z Ziemi. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli Barth pomyśli sobie, że Farrow nie ma dla niego żadnej wartości, to nie okaże mu nawet cienia litości.
Odparł więc:
– Przypominam sobie, że jego formuła miała charakter jonogeniczny, ale nie pamiętam szczegółów.

– T’laa mógłby z czasem wydobyć to z twojego umysłu – zadeklarował Barth.

Farrow zadrżał, spoglądając na pokrytego futrem obcego, który przycupnął na stołku. Sama myśl o tym, że parapsychiczne moce tego stworzenia badają jego umysł, wywołała u niego uczucie odrazy.

– Co do autoryzacji sposobu postępowania z tobą– powiedział Barth, – muszę nawiązać łączność z domem…

Przerwało mu nagle wejście do kabiny młodego, poważnie wyglądającego człowieka, w szarym jednoczęściowym uniformie.

Barth przywitał go gniewnie.

– Zostawiłem chyba wyraźne rozkazy, żeby nam nie przeszkadzać, Sandoz.

Młody człowiek, którego nazwał Sandoz, wyglądał na zaniepokojonego.

– Zdaję sobie z tego sprawę, sir, ale tam na zewnątrz, w lesie, zauważyliśmy spore zamieszanie, i wydaje nam się, że mogą to być duże siły tubylców.

Serce Farrowa podskoczyło w górę. A wiec nadciągali rodacy Jen! To może być jakaś szansa…

Barth oznajmił:

– Nie jestem tym specjalnie zaskoczony. Oczekiwałem tego. – Pomyślał przez chwilę, a potem powiedział. – Przejdźmy lepiej na mostek. Pomimo wszystko chciałbym jednak skorzystać z komunikatora. Chodź ze mną, Farrow. Ty również, T’laa. Będę cie potrzebował.

Farrow wstał i na chwilę jeszcze przystanął, aby popatrzeć na Jen. Pomyślał sobie, że wygląda ona bardziej na śpiące dziecko niż na żyjącą w lesie tubylczą dziewczynę.

Nagle gwałtownie podskoczył, ponieważ coś ciężkiego wylądowało ze świstem na jego ramieniu. To T’laa przeskoczył z pobliskiego stołka i usiadł mu na barku. Przestraszony odwrócił głowę i napotkał spojrzenie tych wielkich jak spodki czarnych oczu, oddalonych od niego tylko o kilka cali.

Zaczął już wykonywać gwałtowny ruch odrazy, ale Barth przerwał mu z szyderczym śmiechem.

– Wszystko w porządku. T’laa nie ma zamiaru zrobić ci krzywdy. Ziemska grawitacja bardzo go męczy i lubi jeździć okazją.

– Tak – wyszeptał T’laa swoim sepleniącym głosem.

Po plecach Farrowa, miedzy łopatkami, przechodziły mrówki od samego dotknięcia tulącego się do niego futrzastego stworzenia, ale w obecności Bartha nie chciał okazywać strachu. Wyszedł z małego pomieszczenia, a Barth ruszył w jego ślady, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Młody człowiek, Sandoz, ruszył przodem, prowadząc ich pierścieniowatym korytarzem, a następnie w górę po drabince. Drabinka znajdowała się w okrągłym szybie. Farrow spojrzał w pewnym momencie w dół, na znajdujące się pod nimi wnętrze rakiety i zadrżał, ale po chwili popatrzył ponownie. Od strony gdzie siedział T’laa, usłyszał suchy trzeszczący odgłos, który stanowił chyba wyraz rozbawienia.

Weszli w końcu do kopulastego pomieszczenia na dziobie rakiety. Wyposażone było ono w okna, przez które wpadało światło elektryczne, dzięki czemu Farrow zorientował się, że na zewnątrz panuje noc.

Czy oznaczało to, że był nieprzytomny przez cały dzień?

Przez jedno z okien wyglądał człowiek w średnim wieku, o opalonej na intensywną czerwień twarzy. Kiedy weszli odwrócił się i powiedział do Bartha:

– Trudno powiedzieć, ale tam na zewnątrz musi chyba być z kilkuset dzikusów, Myślę, że mają zamiar nas zaatakować.

Barth skinął głową i odparł:

– Mudie, przejmujesz główne stery. Przygotujemy im gorące przyjęcie. T'laa, spróbuj złapać coś z umysłów tych ludzi na zewnątrz. Chcę wiedzieć, kiedy zdecydują się na atak.

– To nie będzie łatwe przy takiej liczbie i z tak dużej odległości – wymamrotał T'laa. Ale zeskoczył z ramienia Farrowa, ku jego potężnej uldze, i złapał się stojaka znajdującego się przy jednym z okien, wyglądając przez szybę na zewnątrz.

Barth podszedł do pulpitu sterującego, przed którym siedział wyraźnie wystraszony, młody człowiek. Polecił mu:

– Daj mi Centrum Planowania na Syrtis. Chcę rozmawiać z Grummanem. Audio i wideo.

Wystraszony operator odparł z zatroskaniem:

– Dostanie się do Głównego Planisty, może zabrać nieco czasu…

– Proszę to zrobić – ostro rzucił Barth i operator pośpiesznie wziął się za przerzucanie przełączników. Jego głos zaczął buczeć z profesjonalną monotonią.

– ER-2 wzywa P-1, Syrtis City! ER-2 wzywa…

Farrow spytał ze zdziwieniem:

– Nawiązujesz łączność z Marsem?

Barth uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Tak. Od twoich czasów poczyniliśmy pewne postępy w telekomunikacji. Być może poczujesz się bardziej doceniony, jeśli powiem ci, że kontaktuję się w twojej sprawie.

– W mojej? A o co chodzi?

– Głównie o to, aby ustalić, czy masz żyć, czy umrzeć – spokojnie odparł mu Barth. – Pomyśl trochę o tym.

W obserwujących go bacznie oczach Bartha, Farrow dostrzegł błysk sardonicznego humoru. I jego niechęć do Bartha przerodziła się w otwartą wrogość.

– ER-2 wzywa P-1…

Barth zapytał:

– Masz już coś, T'laa?

Siedzące na swojej grzędzie obok okna, pokryte futrem marsjańskie stworzenie, wyszeptało:

– Tam na zewnątrz jest wiele umysłów, wiele myśli. Jeden z nich, chyba przywódca, mówi im właśnie, że muszą zaatakować szybko.

Na kilka chwil zapadła cisza, którą przerwał operator:

– Udało mi się przedostać do Głównego Planisty, sir.

Mały ekran komunikatora rozbłysnął jasnością. Przebiegła po nim fala zakłóceń, a potem obraz się wyostrzył, pokazując twarz starszego człowieka, stojącego na tle widoku jakiegoś przyciemnionego pomieszczenia.

Początkowo Farrow pomyślał sobie, że to dobra twarz. Otwarta, wesoła i wyglądająca na życzliwą, z leciutką siateczką zmarszczek wokół oczu. Ale kiedy Grumman się odezwał, jego ostry głos zniweczył to korzystne pierwsze wrażenie.

– O co chodzi, Barth? – spytał.

Barth odpowiedział mu głośno, nie wykazując najmniejszych śladów onieśmielenia.

– Nie mamy tutaj dostatecznych sił. Przy otwartej wrogości wszystkich tubylców, będziemy potrzebować większych sił, zanim będziemy mogli rozpocząć szersze poszukiwania surowców. Oceniłbym to na jakieś cztery rakiety.

– Innymi słowy – warknął Grumman, – pańska misja zmierza ku niepowodzeniu.

– Absolutnie nie, sir – chłodno odparł Barth. – Proszę sobie przypomnieć, że przewidywałem już wcześniej, że przy wykorzystaniu tylko jednej rakiety, niemożliwe będzie nic więcej, niż wykonanie rekonesansu, jednak moja prośba o zwiększenie zasobów, została odrzucona. – Mówił dalej: – Natomiast wyniknęło coś jeszcze. Chodzi o tego człowieka… – i wskazał na Farrowa.

Szubko opowiedział o pochodzeniu Farrowa. A człowiek o otwartej twarzy, na odległym Marsie, wpatrywał się w Farrowa z niedowierzaniem.

– Czy T'laa to potwierdza? – zapytał na koniec.

– Całkowicie – oświadczył Barth. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A tajemnica gazu estywacyjnego, gdyby udało się nam ją zdobyć, byłaby dla nas bardzo wartościowa.

– Tak – powiedział Grumman po chwili. – Tak, rozumiem to. – Napotkawszy wyrachowane spojrzenie jego oczu, Farrow zastanawiał się jak w ogóle mógł uważać twarz tego człowieka za życzliwą. – W porządku, Barth, niech pan go zabierze ze sobą. Nie muszę chyba mówić, że to także jest informacja tajna. Będzie mógł pan przedstawić swoje wyjaśnienia, na temat niepowodzenia misji, pełnemu składowi Rady.

Ekran gwałtownie pociemniał. Barth, z twarzą poczerwieniałą z gniewu, zaklął pod nosem.

– Na Boga, Główny Planista czy nie, pokażę mu jeszcze, że nie pozwolę się obarczyć jego błędami.

Od strony okna nagle dobiegł głos T'laa:

– Zdecydowali się. To jasno widać we wszystkich otaczających nas umysłach. Mają zamiar podkraść się teraz, i uderzyć na nas.

– Dobrze – stwierdził Barth, ze złośliwą nutą. Kiwnął głową w stronę opalonego na czerwono człowieka, który zajął miejsce pilota, przed potężnym głównym pulpitem sterującym. Powiedział do niego: – Bądź gotowy, Mudie. Kiedy tylko powiem, damy im pełną moc ciągu.

Nie rozumiejąc o co chodzi, Farrow popatrzył na Mudiego, a następnie ponownie na Bartha.

Podszedł do okna, przez które spoglądali Barth i T'laa. Wyjrzał na zewnątrz. Z kopuły znajdującej się wysoko na kadłubie rakiety, wyraźnie można było zobaczyć rozciągającą się wokoło równinę, natomiast położony dalej las, widoczny jedynie jako rozmyta ciemna plama. Potem, kiedy jego oczy przyzwyczaiły się trochę do ciemności, zauważył, że od ciemnego lasu na południu, zaczęły odrywać się krople czerni, wypełzające spomiędzy drzew na jaśniejszą na równinę. Tubylcy, rodacy Jen, skradali się w kierunku rakiety!

– Poczekamy dopóki wszyscy się nie zbliżą – wymamrotał Barth. – Wtedy im tym przyłożymy. Dużo czasu upłynie, zanim po dzisiejszej nocy, odważą się niepokoić rakiety.

Z nagłym przerażeniem, Farrow zrozumiał co się dzieje. Mudie, człowiek siedzący przy sterach, trzymał dłoń na wielkiej dźwigni, której plastikowy uchwyt oznaczony był jasnoczerwonym kolorem. Teraz już domyślał się, co to jest, i na czym polegał plan Bartha. Chodziło o to. aby pozwolić podkradającym się tubylcom na zbliżenie się do rakiety, a następnie niespodziewanie skierować na nich potężny, niszczący strumień ciągu silników rakietowych, który w mgnieniu oka spaliłby ich na popiół.

Farrow wyprostował się. Był pewien sposób aby temu wszystkiemu zapobiec, aby ostrzec tubylców tak by mogli się wycofać. Musiał podjąć to ryzyko, jego sympatia była całkowicie po stronie ludzi z Ziemi, i niech go diabli, jeśli pozwoli ich wymordować.

Nagle Farrow zorientował się, że T'laa patrzy mu prosto w oczy. Zdał sobie sprawę, że marsjańskie stworzenie, musiało przeczytać jego myśli. Czekał tylko kiedy T'laa wykrzyczy ostrzeżenie dla pozostałych.

Ale pełne żalu wielkie czarne oczy T'laa jedynie mu się przyglądały, a po chwili Ibim odwrócił się, aby ponownie wyjrzeć przez okno. Nie powiedział ani słowa.

Błyskawicznie Farrow odwrócił się i zanurkował w stronę foteli pilotów. Złapał za czerwoną dźwignię, którą trzymał Mudie i zanim tamten zdołał go powstrzymać, pociągnął ją do połowy.

Rozległ się ogłuszający grzmot i silniki rakiety eksplodowały strugą ognia w znajdującą się pod nimi ciemność nocy, a cały kadłub zadrżał i uniósł się.

Rozdział 5

Z gardła Bartha wyrwał się krzyk wściekłości, słyszalny nawet poprzez grzmot ryczących pod nimi rakiet.

– *Brać go!*

Tutaj, w żywotnie istotnym centrum nerwowym sterowania statkiem, nie można było używać broni. Jednak młody Sandoz, znajdujący się najbliżej Farrowa, skoczył na niego i szarpnął go do tyłu.

Ponieważ nadal był bardzo osłabiony, Farrow dał się oderwać od dźwigni odpalania. Po chwili złapał go również Barth, i razem odciągnęli go, przypierając plecami do ściany. Bili go i szamotali, wszyscy razem ślizgając się od jednego okna do drugiego, w miarę jak cała rakieta lekko przechylała się na wszystkie strony.

Mudie, pilot, szaleńczo uderzał palcami po wielkim panelu pełnym klawiszy, jak organista próbujący grać niewyobrażalnie skomplikowaną fugę, na wszystkich jednocześnie. W końcu rakieta ustawiła się z powrotem w pozycji pionowej. Następnie wylądowała na ziemi, i Mudie wyłączył silniki.

W zalęgającej ciszy, Mudie wstał z fotela, otarł spoconą czerwoną twarz i oskarżycielsko zawołał:

– Niemal wylecieliśmy w powietrze!

Barth rzucił Farrowem o ścianę. Wycedził pełnym furii głosem:

– Mogłeś roztrzaskać całą rakietę!

– Moje serce krwawiło by ze smutku – odparł Farrow ironicznie.

Barth odwrócił się do stojącego przy oknie Sandoza. Tamten powiedział:

– Wszystko poszło na marne. Dzikusy uciekły do lasu zaraz jak tylko odpaliły silniki.

– Oczywiście. Właśnie dlatego uruchomił je za wcześnie. Po to aby ich ostrzec – powiedział Barth. Popatrzył na T'laa, ciągle uczepionego swojej grzędy przy oknie. – Dlaczego, u diabła, nie ostrzegłeś nas o tym, co się dzieje w jego umyśle?

Futrzaste stworzenie odpowiedziało:

– W ogóle nie zwracałem na niego uwagi. Byłem skoncentrowany na tych tubylcach na zewnątrz, tak jak rozkazałeś.

Usłyszawszy to, Farrow ostro spojrzał na małego Ibima. Wyraźnie pamiętał, że tuż zanim wykonał swój skok do urządzeń sterujących działaniem silników, T'laa spojrzał na niego badawczo, a następnie odwrócił się od niego, w drugą stronę. Był niemal pewien, że w tym momencie marsjańskie stworzenie musiało przeczytać jego myśli. Ale jeśli tak było, to dlaczego nikogo nie ostrzegło?

Barth ciągle wściekły, ale i zaintrygowany, spytał z kolei Farrowa:

– Dlaczego, u licha, zaryzykowałeś swoją głowę, żeby ostrzec tych dzikusów?

Farrow wzruszył ramionami.

– Oni są ludźmi. Używanie przeciwko nim ciągu rakietowego, to brudny chwyt.

– Tego rodzaju sentymenty u człowieka, którego rodacy rozpętali Wojnę! – odpowiedział ciosem Barth. Zwrócił się do Sandoza: – Zamknąć go! W tej samej kabinie, w której siedzi ta dzikuska. Nie możemy poświęcić na nich dwóch kabin.

Mudie, pilot o czerwonej twarzy, podszedł do nich i powiedział:

– Po co w ogóle zabieramy ze sobą tę tubylczą dziewczynę? To tylko dodatkowy zbędny balast.

Barth popatrzył na niego ponurym wzrokiem.

– Po prostu zajmij się nawigacją, i zostaw myślenie mnie, dobrze? Mam swoje powody.

Farrow wypchnięty został w stronę drabinki. Kiedy ruszył nią na dół, spojrzał nad głowę i zobaczył schodzącego po szczeblach za nim Sandoza. Młoda twarz Sandoza miała poważny wyraz, a w ręku trzymał pistolet.

– Wyszliśmy już ze sterówki, a wiec jeśli mnie do tego zmusisz strzelę do ciebie – ostrzegł go Sandoz.

– Sam już na to wpadłem – sucho stwierdził Farrow.

Dopóki nie znaleźli się z powrotem w małej metalowej komórce, nie padło już ani jedno dalsze słowo,. Jen ciągle leżała na dolnej koi, ale teraz już lekko się poruszała.

Sandoz, trzymając broń w gotowości, stanął na chwilę w drzwiach, zanim je zamknął i przekręcił klucz. Powiedział do Farrowa:

– Teraz posiedzisz tu trochę w zamknięciu. Dla twojego własnego dobra, naprawdę radzę ci, nie sprawiać żadnych dalszych kłopotów.

Kiedy Sandoz poszedł, Farrow pochylił się nad Jen i przyglądał jej się przez chwilę. Poruszyła się ponownie, a potem spojrzała na niego, szeroko otwartymi, oszołomionymi oczyma.

– Wszystko w porządku, Jen – odezwał się do niej. Potem dodał: – To znaczy, chciałem powiedzieć, że przynajmniej ciągle żyjemy. Jesteśmy w rakiecie.

Oczekiwał, że wpadnie w histerię. Ale Jen nie panikowała, i nagle poczuł, że jest mu nieskończenie przykro z jej powodu.

– To moja wina, że tutaj się znalazłaś – powiedział. – Nie byłoby cię tu, gdybyś nie próbowała pomóc mi w ucieczce przed nimi.

– Żałuję tylko, że nie udało mi się zabić paru z nich! – zawołała. – W jaki sposób zdołali nas tak łatwo wyśledzić?

Opowiedział jej o T’laa, i o tym co się stało, kiedy plemię próbowało zaatakować rakietę. Dodał jeszcze z niechęcią:

– Jeżeli nie uda nam się stąd uciec, a muszę przyznać, że nie widzę na to zbyt wielkich nadziei, to oni chcą nas zabrać ze sobą.

Jen lekko zbladła, ale ponownie udało jej się nie okazać nawet śladu przestrachu.

– Na Marsa? Dlaczego?

– Mnie potrzebują, ponieważ chcą zdobyć pewien sekret naukowy, o którym myślą, że ja go znam – wyjaśnił Farrow. – Do czego ty jesteś im potrzebna, nie mam pojęcia.

W oczach Jen zapłonął ogień.

– Moi rodacy się nie poddadzą! Nawet jeżeli nie będą mogli zaatakować rakiety, to otoczą ściśle, i ci Marsjanie nie ośmielą się ruszyć się stąd nawet krokiem!

W czasie ponurych dni uwięzienia, jakie potem nastąpiły, Farrow zastanawiał się jak ich prześladowcy radzą sobie z realizacją swojej misji. Ale strażnicy, którzy przynosili im jedzenie, niczego nie chcieli im powiedzieć.

Parokrotnie słyszał dochodzący z zewnątrz stopniowo oddalający się ryk, tak jakby gdzieś w pobliżu startowały samoloty odrzutowe. Przypuszczał, że „Marsjanie” przywieźli ze sobą samoloty, które miały pomagać im w poszukiwaniu potrzebnych im surowców, ale nie wydawało mu się, aby w ten sposób mogli zajść daleko w swoich planach wydobywczych.

Wydawało mu się, że minęły już dwa tygodnie uwięzienia w nieruchomo stojącej rakiecie, zanim w drzwiach stanął Sandoz. Mówiąc do nich, młody oficer przez cały czas trzymał w ręku pistolet. Jego słowa wywołały u Farrowa uczucie nagłego zimnego szoku emocjonalnego.

– Niedługo startujemy. Lepiej weźcie, przypnijcie się pasami do koi i leżcie w nich przez cały czas.

Ogarnięty myślą, że to ostateczne pożegnanie z Ziemią, Farrow poczuł ochotę na zaatakowanie Sandoza w rozpaczliwej próbie ucieczki. Jednak jedno spojrzenie w oczy młodego oficera, ostrzegło go, że byłoby to samobójstwo.

Farrow opanował ten impuls. Jedynie odpowiedział kąśliwie:

– Coś nie zostaliście za długo na Ziemi. Czyżby poszukiwania surowców nie poszły dobrze?

Sandoz spokojnie odparł.

– Nie mogę temu zaprzeczyć. Nie poszły dobrze. Musimy wrócić tutaj z większymi siłami, i oczyścić z tubylców cały ten duży obszar.

Farrow nagle zapytał.

– Sandoz, wydajesz się być całkiem przyzwoitym człowiekiem, jak na Marsjanina. Odpowiesz mi na jedno pytanie?

– O co chodzi?

– Ludzie, dlaczego u licha, wy wszyscy po prostu nie wrócicie na Ziemię? To przecież planeta waszych przodków. Teraz, kiedy radioaktywne trucizny zniknęły, moglibyście spokojnie powrócić. Dlaczego tego nie robicie?

Poważna młoda twarz Sandoza, przybrała nieprzyjazny wyraz.

– Ponieważ planiści wydali na obecny okres inne zarządzenia. A to przecież nasi planiści ocalili naszych przodków, kiedyś, wiele lat temu. Oni wiedzą, co będzie dla nas najlepsze.

Trzasnął drzwiami i zamknął je od zewnętrznej strony na klucz. Farrow spojrzał na Jen i zobaczył, że zrobiła się zupełnie biała.

– Nic na to nie poradzimy, Jen – powiedział. – Połóż się w swojej koi.

Przypiął ją pasami do łóżka. Udało jej się skrzywić usta w wystraszonym uśmiechu i Farrow nachylił się nad nią i pocałował ją.

– Dobra dziewczynka.

Położył się do swojej koi. Czas mijał. W pewnej chwili rozległy się dźwięczące gongi. Nagle całą potężną konstrukcją rakiety ponownie wstrząsnął grzmot jej silników, i jakby jakaś potężna dłoń zwaliła się na Farrowa, wciskając go w wypełniony powietrzem materac.

Walczył o złapanie oddechu, Aż w końcu po nieskończenie długim czasie, grzmot gwałtownie zamarł. Nacisk na ciało Farrowa zmalał. Zawołał na dół do Jen, i usłyszał przytłumione zapewnienie, że wszystko jest z nią w porządku.

Po pewnym czasie znowu gongi ostrzegły ich o uruchomieniu silników. I ponownie miażdżyło ich przeciążenie, które potem opadło. I w ten sposób toczyło się to dalej, aż do chwili, kiedy uderzenia ciągu silników, definitywnie ustały. Farrow zdawał sobie sprawę, że muszą być już w kosmosie, rozpoczynając lot na Marsa. Ale ta pozbawiona okien komórka, nie pozwalała niczego zobaczyć.

Potem dla Farrowa i Jen nastał dziwny, pozbawiony czasu, okres. Ich kabina miała poniżej czterdziestu stóp kwadratowych powierzchni. Nie było w niej niczego, poza kojami, przynitowanymi do ściany krzesłami, i małym, wydzielonym przedziałem łazienkowym. Każdego dnia, raz dziennie, uzbrojeni strażnicy otwierali drzwi i przynosili im jedzenie, papkowatą masę roślinną. To był jedyny sposób, w jaki mogli mierzyć czas.

Farrow zdawał sobie sprawę, że on sam lepiej niż Jen znosi oszołamiające zmiany ciążenia i milczącą monotonię podróży. On był dzieckiem miast, podczas gdy Jen pochodziła z leśnego ludu, z następnego stulecia. Wiele opowiadała mu o swoich rodakach, i ponownie Farrow odniósł wrażenie, że to całkiem przyzwoici ludzie, pomimo wszelkich przeciwności losu, trudzący się nad odbudową leżącej w ruinie Ziemi, tyle że nadal pozostający na bardzo początkowym etapie swej drogi.

– Kiedy powróciła z Marsa pierwsza rakieta, myśleliśmy, że wszystko ponownie będzie dobrze – powiedziała gorzkim tonem. – Przypuszczaliśmy, że wszystkie wnuczki Ziemi, wracają do domu, aby nam pomóc.

– Ja właśnie tego nie mogę zrozumieć, dlaczego oni *nie* wracają – stwierdził Farrow. – Zdatne do zamieszkania oazy na Marsie, mają dosyć ograniczony obszar. Już pierwsza ekspedycja to odkryła. Dlaczego ci wszyscy ludzie uczepili się umierającego Marsa, zamiast wracać na Ziemię?

Nagle, po całym tym długim czasie, monotonia ich egzystencji została przerwana. Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Barth, asekurowany przez młodego człowieka o nalanej twarzy, z bronią w ręku.

Za nimi, poruszając się teraz całkiem zwinnie, na swoich dziwnie rozwidlających się kończynach, do kabiny wskoczył T'laa.

– Wkrótce dolecimy na Marsa – opryskliwie poinformował Farrowa Barth. – Już czas, byśmy spróbowali wyciągnąć z ciebie formułę tego gazu.

Farrow wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się, żebyście odnieśli specjalne sukcesy. Swego czasu wyjaśniano mi to, ale to nie była moja dziedzina, i nie pamiętam tego.

– Jeżeli tylko masz te informacje w pamięci, to T'laa z czasem je odnajdzie – stwierdził Barth. – Możesz współpracować z nim z własnej woli, albo zostaniesz do tego zmuszony.

Farrow nie widział sensu w tym, żeby narażać się na zmuszanie do czegokolwiek. A do tej pory pozbył się już częściowo swoich oporów w stosunku do T'laa i ciekawiło go to marsjańskie stworzenie.

– Zgadzam się na współpracę z nim – powiedział.

Barth rzucił rozkaz w stronę młodego człowieka o nalanej twarzy, który trzymał w ręku broń.

– Zostań tu, Naramore. Stój przez cały czas po przeciwległej stronie kabiny, z dala od nich. Sam zresztą wiesz, co masz robić.

Wyszedł z kabiny i zamknął za sobą drzwi. Naramore zrobił kilka kroków i stanął pod przeciwległą ścianą małego pomieszczenia, czujnie obserwując Farrowa i Jen, z gotową do użycia bronią.

T'laa podszedł do Farrowa. Jen cofnęła się lekko, ale Farrow z fascynacją spoglądał na stworzenie, które jednym susem wskoczyło na koję.

– Usiądź – wyszeptał T'laa. – Odpręż się. Zapewniam cie, że twój umysł nie poniesie żadnej szkody, ani nie zostanie w żaden sposób zniszczony.

Farrow przysiadł na brzegu łóżka. Jego twarz znalazła się zaledwie o kilka cali od nieludzkiej, lemurzej twarzy Ibima.

– Chcę, abyś popatrzył mi głęboko w oczy – kontynuował T'laa.

– Hipnoza? – zapytał Farrow.

– Nie, zupełnie nie. To służy tylko po to, aby powstrzymać twoją uwagę od rozpraszania się.

Farrow posłuchał. Oczy Ibima były bezdennymi studniami ciemności. Nagle, Farrow zaskoczył. Wyglądało to tak, jakby gdzieś w środku jego mózgu przemawiał jakiś wyraźny głos.

– Nie okazuj zaskoczenia. Czy słyszysz moje myśli?

Farrow nieomal zerwał się na równe nogi, ale T'laa spokojnie powiedział na głos.

– Jeżeli ma mi się cokolwiek udać, musisz się odprężyć.

Nieludzkie oczy nie miały żadnego wyrazu. Ale do Farrowa ponownie dotarł czysty mentalny głos.

– Czy mnie słyszysz? Jeżeli odbierasz moje myśli, zamknij lewą dłoń.

Z wysiłkiem Farrow opanował ogarniające go uczucie szoku. Zacisnął lewą dłoń, jakby w geście nieprzyjaznej emocji zrodzonej przez konieczność zbliżenia się twarzą w twarz z Ibimem.

– Dobrze – powiedział głos w myślach. – Ani dziewczyna ani strażnik nie mogą nas usłyszeć. Kieruję swoje myśli wyłącznie bezpośrednio do twojego mózgu. Pomyśl swoje odpowiedzi, ale nie wypowiadaj ich. Będę je mógł odczytać.

Farrow rzucił ukradkowe spojrzenie na stojącego po drugiej stronie kabiny strażnika. Człowiek obserwował ich uważnie, ale widocznie skupił się wyłącznie na zapobieganiu jakimkolwiek próbom nagłej ucieczki Farrowa, albo jego ataku na Ibima. Przyglądał się wszystkiemu z wyraźnym obrzydzeniem na swojej nalanej twarzy, tak jakby proces odczytywania umysłu był nieco niesamowity i nieprzyjemny do oglądania.

Jen wcisnęła się w róg pomieszczenia i obserwowała wszystko ze zgrozą, z szeroko otwartymi oczyma. Dla niej, jak sobie uświadomił w tej chwili, przy jej kompletnej ignorancji co do teorii parapsychicznych, cały proces ten musiał mieć posmak nadprzyrodzony.

– Patrz na mnie! – dobiegła go ostra myśl ostrzegawcza T'laa. – Albo Naramore zacznie coś podejrzewać.

Farrow odwrócił z powrotem wzrok tak, by napotkać wszechpochłaniające spojrzenie nigdy nie mrugających, głębokich czarnych oczu. Uformował myśl.

– A więc oni nie wiedzą, że możesz porozumiewać się ze mną w taki sposób?

– Nie, nie wiedzą – odpowiedział mu w myślach T'laa. – Uważają, że my, Ibimowie, jesteśmy po prostu dziwadłami, inteligentnymi zwierzętami, ze zdolnościami do czytania myśli. Nasze moce, nasza historia, nasze gromadzone przez wieki dziedzictwo umysłowe, tego wszystkiego nawet nie podejrzewają.

Farrow zaczął już to wszystko trochę rozumieć.

– A więc nie służycie im z własnego wyboru?

Myśl, która nadeszła w odpowiedzi od Ibima, miała gorzki smak.

– Służę im, ponieważ gdybym tego odmówił, zabili by mnie.

Farrow, przypominając sobie coś, pomyślał:

– A więc to dlatego nie ostrzegłeś ich o moich zamiarach, wtedy, w kabinie nawigacyjnej?

– Tak, właśnie dlatego – dobiegła go odpowiedź. – Teraz mnie posłuchaj. Zastanawiałeś się, z jakiego powodu Ziemianie z Marsa, nie powracają na Ziemię, teraz kiedy wasza planeta jest już wolna od skażenia.

– Tak. Dlaczego?

– Ponieważ – dobiegła go myśl T'laa, – ludzie mieszkający na Marsie *nie wiedzą*, że Ziemia jest już czysta i nadająca się do życia. Myślą, że planeta jest nadal skażona radioaktywnością. Jedynie Planiści, oligarchowie tacy jak Gruman, czy Barth, którzy trzymają w rękach władzę, znają prawdę o Ziemi. A oni utrzymują ją w tajemnicy przed ludźmi.

Farrow osłupiał ze zdumienia.

– Ale dlaczego mieliby to robić?

T'laa, przez cały czas nie zmieniając wyrazu twarzy, rzucił mu kolejną myśl:

– Czytałem ich umysły. Grumman, Barth i inni oligarchowie utrzymują się przy władzy dzięki temu, że są Planistami, potomkami tych, którzy poprowadzili Ziemian na Marsa w czasie wielkiej ewakuacji, i dlatego że ludzie czują że taki kierunek jest niezbędny do przetrwania na Marsie. Ale na obszernej, obfitującej we wszystko Ziemi, Planiści nie byliby w stanie długo utrzymać swojej władzy nad pozostałymi. Tak więc, nie chcą aby ich rodacy powrócili na Ziemię.

Umysł Farrowa zapłonął gniewem.

– Ale w jaki sposób mogą to wszystko utrzymać w tajemnicy, kiedy załogi ich rakiet widziały Ziemię na własne oczy?

– Kiedy dolecimy na Marsa, sam zrozumiesz w jaki sposób utrzymują swoje gigantyczne oszustwo – odparł T'laa. – Oraz, że to oszustwo musi zostać zniszczone dla dobra twojego ludu i mojego.

Ibim dorzucił jeszcze złowieszczą, mrożącą krew w żyłach myśl:

– Kiedy Barth nie będzie miał już z was żadnego pożytku, ty i ta dziewczyna z Ziemi, nie przeżyjecie długo. Musimy być gotowi do działania, natychmiast jak tylko dolecimy na Marsa!

Rozdział 6

Potężny wstrząs rzucił Farrowa o pasy. Opadając z powrotem, uderzył tyłem głowy o metalowy narożnik koi i przed oczyma rozbłysły mu wszystkie gwiazdy.

Potem nastąpiła głucha cisza.

Ciągle lekko oszołomiony, niezgrabnie odpiął przytrzymujące go pasy, i z niepokojem zajrzał do drugiej koi.

– Jen, wszystko z tobą w porządku?

– Tak, nic mi nie jest – odparła. Wydostała się z koi. – Jesteśmy na miejscu?

– Zgadza się. Wylądowaliśmy.

Pochylił się nad nią. Twarz miała tak bladą, a oczy takie szerokie, że poczuł nagły przypływ współczucia dla niej. To wszystko było wystarczająco trudne nawet dla niego, mężczyzny obytego, przynajmniej w teorii, z rakietami i podróżami kosmicznymi. Dla dziewczyny pochodzącej z zacofanego ludu żyjącego w prosty sposób, w małych miasteczkach zatopionych w olbrzymich lasach Ziemi, musiało to być jeszcze bardziej wstrząsające doświadczenie.

Otoczył ją ręką.

– Teraz jesteśmy na Marsie, ale wrócimy na Ziemię, Jen… jeżeli tylko uda nam się dotrzeć do żyjących tutaj ludzi i opowiedzieć im w co są wciągani przez swoich przywódców.

Spojrzała na niego z lekką wątpliwością.

– Ale jeżeli ci się to uda, to wtedy wielu takich Marsjan jak Barth powróci na Ziemię.

– Nie, takich jak Barth. – powiedział. – Ludzi takich jak ty, czy ja, Jen… Ludzi stłoczonych tu na Marsie, którzy chętnie wróciliby na Ziemię, i którzy chętnie by pomogli twoim rodakom.

– Nie wiem nawet, w jaki sposób moglibyśmy uciec – wyszeptała.

Farrow nic na to nie odpowiedział. Musiał przyznać nawet sam sobie, że plan zaproponowany przez T'laa, zdawał się dawać słabe nadzieje.

– Odczytałem umysły ludzi Bartha, i wiem którzy z nich w głębi ducha nie ufają polityce Planistów – powiedział mu T'laa w myślach. – Gdyby udało nam się pozyskać któregoś z nich, jako sojusznika, moglibyśmy uciec.

Czy T'laa był w stanie zwerbować takiego sojusznika? Nawet jeśli mu się to uda, w jaki sposób mieliby zburzyć największe oszustwo w historii obu planet?

Po jakiejś godzinie, otworzyły się drzwi od kabiny. Stanął w nich Sandoz, z bronią u pasa i nie okazując nawet cienia przyjaźni na swojej poważnej młodej twarzy.

– Idziemy – powiedział. – Główny Planista chce zobaczyć was oboje.

– Rychło w czas – warknął Farrow.

Zeszli po długiej drabince, a następnie wyszli z rakiety, poruszając się niezdarnie w grubo podzelowanych marsjańskich butach, które im wydano wcześniej. Tam stanęli, z trzymającym się tuż za nimi Sandozem, rozglądając się z zaciekawieniem po otoczeniu i czując wszystko na raz: lżejsze przyciąganie grawitacyjne, obce zapachy w chłodnym i zbyt rzadkim powietrzu. Wpatrywali się w krajobraz, który nagle przemówił do nich dobitnie: *Jesteś na innej planecie*.

Lądowisko znajdowało się na niskim płaskowyżu zbudowanym z rudo-czerwonych skał, rozciągającym się pod obcym niebem koloru starego mosiądzu. Nad nim wznosiła się olbrzymia rakieta, którą tutaj przylecieli, kilka innych rakiet i budynki z różowego betonu.

Wszystko to otoczone było wysokim drucianym ogrodzeniem, z pozamykanymi bramami ze stalowej kratownicy. Ale oczy mężczyzny i dziewczyny z Ziemi, wyrywały się poza ogrodzenie, chłonąc niesamowity rozległy krajobraz.

Słońce, małe i jasne, zanurzało się właśnie poza horyzont, który zdawał się być całkiem blisko. Z wierzchołka płaskowyżu, łagodnie opadała czerwonawa pustynia, panorama pustkowia, rozciągającego się bez końca we wszystkich kierunkach, poza jednym. W tym kierunku, który jak ocenił Farrow prowadził na południe, położona była płytka misa bladej zieleni. Wiedział, że jest to oaza Syrtis i z tego co widział, była ona niemal zupełnie wypełniona, wyglądającymi bardzo po ziemsku, betonowymi domami, ciągnącymi się aż do centralnej części, w której wyrastały wyższe budynki. Jak na coś zbudowanego tutaj, w oazie na marsjańskiej pustyni, było to dziwnie ziemskie miasto.

– Niech mnie diabli, jeśli to nie wygląda całkiem jak Los Angeles! – powiedział.

Sandoz wzruszył ramionami.

– Kiedy nasi przodkowie przybyli tutaj z Ziemi sto lat temu, budowali swoje miasta w taki sposób do jakiego byli przyzwyczajeni. Chodźcie, idziemy do głównych biur.

Po drodze Jen wyszeptała do Farrowa:

– To miejsce jest z dala od miasta i jest ogrodzone jak więzienie.

Farrow wiedział dlaczego tak było, ponieważ T'laa mówił mu o tym wcześniej. Baza rakietowa została celowo zbudowana w izolowanym miejscu, na pustyni, i wszyscy, poza najbardziej zaufanymi oficerami, byli tutaj tak faktycznie więźniami, tak aby nikt z nich nie mógł wypaplać prawdy o Ziemi. Wszystko to odbywało się pod pretekstem, aby żadne toksyczne skażenie z Ziemi, nie mogło przedostać się na zewnątrz.

Ruszyli w stronę długiego, niskiego budynku, a następnie weszli do środka. Wewnątrz wyglądał on absolutnie zwyczajnie. Szybko znaleźli się w pomieszczeniu w którym rozmawiali Główny Planista Grumman i Barth.

Pulchna twarz Grummana przybrała ten sam przyjacielski, dobroduszny uśmiech, który Farrow widział w telewizorze. Wyglądający lekko misiowato w swoim śnieżnobiałym kombinezonie Główny Planista, stwarzał wrażenie starego, czułego wujka. Wyszedł do przodu i uścisnął dłoń Farrowa.

– Jest pan naprawdę nieprawdopodobną osobą, Farrow – powiedział do niego ciepłym tonem. – Człowiek sprzed tych wszystkich dziesiątków lat, po prostu nie do uwierzenia!

Jego intensywnie niebieskie oczy promieniowały na Farrowa ojcowską troską.

– Barth mówił mi już o tej tajemnicy naukowej, o gazie estywacyjnym, który sprowadził pana w nasze czasy. Cóż za wspaniałe osiągnięcie! Musimy mieć jego formułę… byłaby dla nas wręcz bezcenna.

Barth, z lekko sardonicznym wyrazem twarzy, wtrącił:

– T'laa nie zdołał jej jeszcze wydobyć, ponieważ, jak powiedział, lot rakietowy uniemożliwiał umysłowi Farrowa odpowiednie odprężenie. Ale kilka sondowań teraz, kiedy jesteśmy już na miejscu, powinno załatwić sprawę.

Farrow stanowczo zwrócił się do Grummana.

– Czy to ma znaczyć, że jesteśmy więźniami?

Grumman wyglądał na wstrząśniętego.

– Och, nie… oczywiście, że nie. Dopóki T'laa nie pomoże panu przypomnieć sobie tej formuły, będzie pan naszym gościem honorowym.

Uśmiechnął się, a jego uśmiech był fałszywą maską. Barth skinął głową w stronę Sandoza, i młody człowiek wziął Farrowa pod rękę, mówiąc:

– Proszę, tędy.

Opór mógłby zniszczyć plany T'laa, a więc Farrow poszedł z nim spokojnie. Jen ruszyła przed Sandozem. Farrow zdawał sobie sprawę z tego, że Barth i Gruman spoglądają za nimi.

Sandoz zaprowadził ich do mniejszego pokoju, w którym stało biurko. Farrow poczuł nagłą ochotę na to, by się głośno roześmiać. Na krześle za biurkiem siedział bowiem T'laa, i Ibim wyglądał jak niski, futrzasty kierownik. Ale wyraz oczu T'laa zmroził natychmiast wszelkie myśli o wesołości.

– To dobrze, że możemy teraz porozmawiać – wyszeptał T'laa, kiedy opuścił ich Sandoz. Wtedy nadzieje Farrowa legły w gruzach, ponieważ Ibim dodał jeszcze: – Mój plan zawiódł.

– Co przez to rozumiesz? – zawołał Farrow, robiąc ruch w stronę biurka. – Czy próbowałeś przekonać któregoś z ludzi z Ziemi?

– Tak – odparł T'laa. – Sandoza. W jego umyśle, jak widziałem, znajdowała się tłumiona niechęć — dezaprobata odnośnie sposobu w jaki Barth i Grumman stłumili prawdę o sytuacji na Ziemi. Wybadałem go, tuż zanim wylądowaliśmy.

– I on odrzucił twoje propozycje?

– Zdaje się – żałośnie powiedział T'laa, – że pomimo swoich wątpliwości, nadal przekonują go wyjaśnienia Bartha. Barth ogłosił wszystkim członkom wyprawy, że prawda dotycząca Ziemi musi być ujawniana stopniowo, aby szalone parcie na powrót na Ziemię nie zniszczyło ich społeczeństwa. Sandoz dalej trzyma się wiary w te słowa.

Coraz bardziej skonsternowany Farrow spytał:

– Ale czy zameldował o twoim planie Barthowi?

– Jeszcze nie miał możliwości, aby to zrobić – odparł T'laa. – Myślę, że teraz właśnie poszedł do niego.

Farrow poczuł uderzenie frustracji. Potem zaczął wzbierać w nim gniew.

– A więc będziemy musieli wydostać się stąd bez pomocy żadnego sojusznika – stwierdził.

– Czy masz jakąś propozycję jak to zrobić? – sceptycznie spytał T'laa.

Farrow wzruszył ramionami.

– Obecnie jedynym rozwiązaniem jest metoda siłowa. Kiedy Sandoz wróci tutaj, skoczę na niego. Mam pomysł na to, jak go zaskoczyć. Mając jego broń, mogę go zmusić do tego, aby nas wyprowadził na zewnątrz.

Jen przyłączyła się z nagłą, gwałtowną żarliwością.

– Pomogę ci!

T'laa wykonał to swoiste wzruszenie ramionami, przy pomocy ruchu wszystkich swoich członków.

– Wydaje mi się, że taka toporna strategia nie daje zbyt wiele nadziei na sukces, ale równie dobrze możemy spróbować i tego. W tej chwili mamy już bardzo niewiele do stracenia.

Farrow pomyślał sobie, że T'laa ma rację co do ich kiepskich szans, ale nie powiedział tego na głos. Zaproponował:

– Jen, kiedy wróci tu Sandoz, ty będziesz udawała, że atakujesz T'laa, tam za biurkiem. To powinno na chwilę odciągnąć jego uwagę. Ja stanę tutaj, za drzwiami, i jeśli uda mi się złapać go za broń…

Jen przytaknęła ze zrozumieniem i przeszła za biurko, stając obok T'laa. Mały Ibim wydał z siebie podobny do westchnienia dźwięk.

– Wy, dzieci Ziemi… kochacie przemoc. Ale niech tak będzie.

Farrow zajął pozycję za drzwiami, tak aby po otwarciu, ukryły jego postać. Cierpliwie czekał.

Nagle zaszczękał zamek u drzwi. Potem drzwi się otworzyły. Farrow spiął się cały do skoku, natomiast Jen udawała, że chce gwałtownie złapać T'laa za gardło.

Nikt jednak nie wszedł do pokoju.

Przez szparę w drzwiach, Farrow zobaczył, że Sandoz stoi w wejściu, trzymając w ręku swoją broń. Nie wchodził do środka. Oznajmił tylko:

– Głupi numer. Wychodź stamtąd i stań razem z nimi, Farrow. Szybko.

Farrowowi nie pozostało nic innego do zrobienia, jak wyjść zza drzwi, a więc zrobił to bez zwłoki. Jen przerwała już swój udawany atak na T'laa, tak więc mężczyzna, dziewczyna i Ibim, stanęli przed Sandozem, który wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Jego pistolet asekurował ich przez cały czas.

Sandoz stwierdził pełnym napięcia głosem:

– Musiałbym być chyba skończonym idiotą. Domyśliłem się, że spróbujecie podobnej sztuczki, i nie chciałem, abyście wszyscy się na mnie rzucili, zanim czegoś wam nie powiem.

T'laa wpatrując się w Sandoza, drgnął z nagłym podnieceniem. Młody oficer z ponurą miną skinął głową w stronę Ibima.

– Widzę, że T'laa już to wyczytał w moim umyśle.

– Pomimo wszystko, masz zamiar się do nas przyłączyć! – zawołał T'laa.

– Tak – potwierdził Sandoz. – Co prawda myślę, że to beznadziejna sprawa. Wydaje mi się, że prawdopodobnie wszyscy zginiemy, ale jestem z wami. Muszę to zrobić.

– A skąd ta nagła zmiana sympatii? – podejrzliwie dopytywał się Farrow.

Twarz Sandoza pociemniała.

– Ponieważ usłyszałem od Bartha o pewnej rzeczy. Dowiedziałem się właśnie, dlaczego przywiózł tutaj tę dziewczynę tubylców.

Popatrzył na Jen. Oznajmił to z ledwie kontrolowaną furią w głosie.

– Wiesz dlaczego to zrobił? Powiem ci. Barth obawia się, że niektórzy z nas mogą jakoś wywołać falę plotek pośród ludzi… plotek, że pomimo wszystko Ziemia nie jest zatrutą planetą. Jest zdeterminowany uciąć wszystkie takie pogłoski, raz i na zawsze. Chce użyć tej dziewczyny do tego, by udowodnić, że Ziemia jest niezdatna do zamieszkania.

– W jaki sposób miałby to zrobić? – powiedział Farrow. – Ona przecież jest z Ziemi, i w oczywisty sposób jest silna i zdrowa.

– Ale już taka nie będzie – ponuro stwierdził Sandoz, – wtedy, kiedy zaprezentuje ją żyjącym tutaj ludziom. Celowo dostanie potężną dawkę promieniowania radioaktywnego, w tutejszym laboratorium. Zmieni ją ono w ohydny wrak człowieka. Wtedy Barth pokaże ją wszystkim i oznajmi: „Oto jak wyglądają zamieszkujący Ziemię tubylcy, takie są skutki życia na tej zatrutej planecie". Po czymś takim trudno będzie przekonać ludzi, że on kłamie w sprawie Ziemi.

Jen zmieszana wodziła wzrokiem od Sandoza do Farrowa, nie w pełni rozumiejąc odwołania naukowe.

Ale Farrow poczuł lodowate uderzenie tak silnego gniewu i nienawiści, że sam nie zdawał sobie sprawy, że był zdolny do takich uczuć. W tym momencie wiedział już, że jego celem jest zabicie Bartha.

– To było dla *mnie* już za dużo – gwałtownie zadeklarował Sandoz. – Mam zamiar wam pomóc, i zniszczyć to całe oszustwo Planistów, jeżeli tylko mi się uda.

Farrow zaproponował mu:

– Gdybyśmy mogli teraz pokazać twoim rodakom Jen, od razu by zrozumieli, że to całe gadanie o niezdatnej do życia Ziemi, to kompletne kłamstwo!

– Tak – odparł Sandoz. – Ale najpierw musimy wydostać się stąd, a to jest poważne ale. – Wyglądał na mocno zamyślonego. – Barth pojechał z Grummanem do Syrtis, a więc to ja jestem za was odpowiedzialny, dopóki T'laa pracuje nad twoim umysłem. Spróbuję więc wymyślić jakiś bluff, powód dla wyjścia poza kompleks.

– A jeśli ten bluff nie podziała? – zapytał Farrow.

Sandoz wzruszył bezradnie ramionami.

– Będziemy musieli wywalczyć sobie siłą drogę na zewnątrz. Teraz mamy noc, i jeżeli uda nam się dostać do pojazdów terenowych, będziemy mieli szansę.

T'laa, który z miejsca przestał wyglądać na rozżalonego, tylko na podnieconego, odbił się od biurka, a potem zeskoczył na podłogę, ponieważ Sandoz ruszył w stronę drzwi.

– Idźcie przede mną – powiedział Sandoz. – Wasza dwójka musi sprawiać wrażenie, jakbyście byli moimi więźniami. Idziemy korytarzem w prawo.

Wyszli z pokoju i ruszyli korytarzem. Nagle, kiedy Farrow i Jen szli przed Sandozem i Ibimem, spoza drzwi wejściowych wypadł człowiek z bronią, ubrany w szary mundur.

– Wszystko w porządku, Venner – powiedział do niego Sandoz. – Rozkaz od Bartha, aby zawieźć ich do miasta.

– A ja mam rozkazy, żeby nie pozwolić im na wyjście z budynku – odparł Venner, z uporem i podejrzliwością na twarzy.

Jego broń była wycelowana prosto w nich. Sandoz rozpoczął gniewne protesty, ale Farrowowi nie wydawało się, żeby bluff miał zadziałać. Sprężył się do skoku, który również nie wydawał mu się rokować sukcesów.

Wtedy, zupełnie nagle, na twarzy Vennera pojawiło się oszołomienie i dezorientacja. Na wpół odwrócił się do tyłu, mrucząc zaskoczony:

– Co… kto…

Farrow nie wiedział co go tak rozproszyło, ale nie czekał na to, aby zapytać. Rzucił się na Vennera głową naprzód, używając jej jako tarana.

Venner zakręcił się na pięcie, odwracając się w stronę Farrowa, akurat dokładnie tak, by głowa tego ostatniego trafiła go prosto w żołądek.

Farrow zapomniał o mniejszej sile przyciągania. Uderzenie z byka nie tylko wydusiło powietrze z płuc Vennera, ale również rzuciło mężczyznę gwałtownie plecami na ścianę. Jego głowa walnęła o beton i padł zwinięty wpół, jak wyżęta ścierka.

– Miałem cholerne szczęście z tą jego nieuwagą – wysapał Farrow.

T'laa wydał z siebie ten swój suchy leciutki chichot.

– Wyczytałem w twoim umyśle, że masz zamiar go zaatakować. Uderzyłem go więc myślą, aby go zdezorientować.

– Niech mnie… – zaczął Farrow. Potem dodał: – Dziękuję, T'laa.

Sandoz podniósł broń Vennera. Otworzył szarpnięciem drzwi na końcu korytarza.

– Musimy teraz być szybcy. Kiedy Venner się nie zgłosi, różne rzeczy mogą się wydarzyć.

Wybiegli na dwór, Farrow i Jen poruszali się niezdarnie w butach o grubych podeszwach, których waga przeciwdziałała mniejszemu przyciąganiu grawitacyjnemu.

Panująca na zewnątrz noc była tak zimna, że Farrow niemal stracił oddech. Jen zawołała coś i wskazała ręką w górę, na niebo. Farrow uniósł głowę, i jego samego również uderzył widok tak wspaniałego i cudownego nieba, jakiego nigdy sobie nawet nie wyobrażał.

Czarny firmament usiany był gwiazdami, wodospadem diamentów, szmaragdów i rubinów, rozlewającym się na całe niebiosa. W dżungli jaśniejących słońc gubiły się nawet kształty gwiazdozbiorów. Poprzez środek tej przytłaczającej panoramy powoli poruszał się wyraźnie mniejszy i złowieszczo czerwony księżyc.

– Chodźcie! – ponaglił ich Sandoz.

Pobiegł w kierunku zaparkowanych łazików, niskich zamkniętych pojazdów, dosyć nawet podobnych do samochodów dawnej Ziemi, za wyjątkiem tego, że miały one półgąsienice.

– Kładźcie się na tyle – polecił im. – Cała wasza trójka.

W chwilę później leżeli już stłoczeni na podłodze, na tyle pojazdu, a Sandoz jechał nim przez kompleks. Farrow rzucił ukradkiem spojrzenie przez ramię i zobaczył, że zbliżają się do zamkniętej stalowej bramy, obok której stała budka wartownicza.

Wyszło z niej dwóch ludzi, jeden z nich straszliwie ziewał. Ziewający mężczyzna poszedł otworzyć bramę, podczas gdy drugi z nich rzucił pobieżnie okiem na pokazaną mu przez Sandoza kartę.

– Późno już, ale pewnie dziewczyny w Syrtis jeszcze nie śpią – rzucił wartownik do Sandoza. Później, kiedy Sandoz ruszył pojazdem do przodu, pośpiesznie dorzucił: – Poczekaj chwilę, musimy obejrzeć twój wóz, jak zawsze.

Mężczyzna stał tuż obok samochodu. W tym czasie drugi z wartowników już na wpół otworzył bramę.

Farrow trzymał w ręku rezerwowy pistolet, który Sandoz rzucił mu wcześniej na podłogę pojazdu. Kiedy tylko otworzyły się drzwi, przyłożył zaglądającemu do środka wartownikowi lufę do głowy.

– Jedziemy – rzucił ostro.

Sandoz ruszył pełnym gazem naprzód. Zawadził o na wpół otwartą stalową bramę i odrzucił jej skrzydło gwałtownie na bok. Brama uderzyła trzymającego ją, ziewającego mężczyznę i zwaliła go z nóg.

Sandoz wyłączył reflektory i pojazd ruszył przez ciemne piaszczyste pustkowie, korzystając jedynie ze światła gwiazd. Błyskawicznie upływały kolejne sekundy. Potem, gdzieś z tyłu dobiegł do nich przeszywający dźwięk, dwukrotnie powtórzony.

– Strzelają na ślepo – wymamrotał pod nosem Sandoz. – Ale niedobrze się stało. Zawiadomią Syrtis i policja Planistów, już tam na nas będzie czekała.

Rozdział 7

Światło miliona gwiazd mieszało się z ponurym blaskiem poruszającego się powoli po niebie księżyca, dając w wyniki dziwnie jasny widok. W miarę jak pojazd pędził na dół, zjeżdżając z płaskowyżu, błyskające w oddali światła Syrtis City, stawały się coraz bliższe. Wkrótce zobaczyli reflektory dwóch innych łazików, z najwyższą szybkością podążających od strony miasta w ich kierunku.

– To pojazdy patrolowe, które wyjechały, żeby nas przechwycić – stanowczo oznajmił Sandoz.

– A nie możemy zjechać z drogi i zbliżyć się do miasta od innej strony? – spytał go Farrow. – W ten sposób uniknęlibyśmy spotkania z nimi.

Sandoz odparł:

– Może nam się udać, jeśli nie zderzymy się ze skałą, albo nie ugrzęźniemy w jakiejś zaspie. Ale, musimy spróbować.

Skręcił z drogi i samochód zaczął podskakiwać, kołysać się i jęczeć na wybojach piaszczystej równiny, przez którą ruszyli aby okrążyć dookoła wielką oazę. Sandoz gnał na złamanie karku, a biorąc pod uwagę, że prowadził bez świateł, niebezpieczeństwo rozbicia się było całkiem realne.

Nagle okolicę zalało dodatkowe światło, a jego pojawienie, przyprawiło Farrowa i Jen o szok. Ponad ciemnym horyzontem wyskoczył w górę drugi mały, czerwony księżyc, dodając swój blask do blasku pierwszego, co spowodowało niesamowity efekt.

Jen przysunęła się do Farrowa, udając że wygodniej się usadawia. Spytała:

– Dlaczego musimy jechać do miasta? Moglibyśmy ukryć się tutaj, na pustkowiu.

Farrow dobrze ją rozumiał. Była dziewczyną z plemienia zamieszkującego nową Ziemię, która była krainą pustkowi i dzikich ostępów. Miasto było dla niej jakąś dziwną i odpychającą rzeczą.

– Musimy to zrobić, ponieważ to tam właśnie mieszkają ludzie, a my musimy ich przekonać, że Barth okłamuje ich co do Ziemi – wyjaśnił jej.

Sandoz dodał jeszcze, mówiąc przez ramię:

– A ponadto na pustyniach między naszymi oazami, przeżycie jest zupełnie niemożliwe.

– Oprócz doliny Ibimów – wyszeptał T'laa.

– To twój dom? – spytał Farrow.

– Tak. – Ton głosu T'laa wskazywał, że bardzo tęskni. – Tam żyją resztki mojego ludu, najstarszych dzieci tej planety.

– Tak przy okazji, T'laa, w jaki sposób wpadłeś w łapy Bartha? – spytał go Farrow.

T'laa wykonał swój swoisty ruch wzruszenia ramion.

– Za bardzo polegałem na słowie Ziemian. Kiedy sto lat temu przylecieli na Marsa, zawarli z nami układ, że pozostawią nas w spokoju. Ale Barth i Grumman potrzebowali jednego z nas, jego sił umysłu, i złapali mnie kiedy byłem poza doliną.

– A nie mogłeś zawiadomić o tym swoich rodaków — telepatycznie?

– Nasza siła przesyłania myśli nie jest nieograniczona w przestrzeni – odparł Ibim. – Z tej odległości nie mogłem ich dosięgnąć. A ponadto nie jesteśmy ludem wojny.

T'laa dodał jeszcze w zamyśleniu:

– Ale teraz, jeśli ujawnimy oszustwo Planistów, to może zapobiec przyszłemu złu wyrządzanemu Ibimom.

Farrow zrozumiał. Jeśli ujawnione zostanie wielkie kłamstwo Grummana i Bartha, Ziemianie opuszczą Marsa. A to bynajmniej nie unieszczęśliwiałoby Ibimów.

Przejechali już jedną czwartą drogi wokół oazy i jej wielkiej misy wypełnionej światłem. Sandoz nagle zahamował, z okrzykiem przekleństwa.

– Nic z tego nie będzie. Widzicie te pojazdy patrolowe? Wyjeżdżają również z tej strony Syrtis.

Farrow zobaczył. Światła samochodowe rozjeżdżały się na wszystkie strony po pustyni, z kilku punktów na obwodzie miasta.

– Musimy zaryzykować i spróbować przebić się do środka – powiedział Farrow. – Potrzebujemy jedynie nieco czasu na to, aby opowiedzieć twoim rodakom o tym kłamstwie, aby pokazać im Jen i mnie samego!

Farrow wyciągnął rękę i nacisnął przełącznik na desce pojazdu.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie koncentrują się ich patrole, moglibyśmy prześlizgnąć się między nimi. To służbowy pojazd, i może odbierać rozmowy policji…

Kręcił przez chwilę tarczą, podczas gdy wszyscy czekali w napięciu, dziwna mała grupka siedząca w ciemnym, zimnym pojeździe, o twarzach oświetlonych niesamowicie przez zmieszane razem czerwone światło latających w górze księżyców.

– Nic – powiedział Sandoz. – Barth szybko myśli. Wie, że moglibyśmy go podsłuchiwać. Lepiej sprawdzę, czy nie ma jakichś komunikatów na nasz temat, na kanale ogólnym.

Nagle, kiedy Sandoz przekręcił tarczę, z głośnika przemówił rzeczowy męski głos:

– Powtarzamy specjalny Biuletyn Informacyjny Rady Planistów! Cztery osoby uciekły z kwarantanny w Bazie Rakietowej! – Potem następowały ich nazwiska i opisy całej ich czwórki, jednak bez żadnej wzmianki, że Farrow i Jen są Ziemianami. – Te cztery osoby zostały niebezpiecznie skażone na Ziemi radioaktywnymi truciznami i mogą przenosić poważne toksyczne skażenie! Jeżeli ktokolwiek ich zobaczy, powinien natychmiast zgłosić to do Centrum Planowania.

Farrow zawołał:

– Cholerny Barth! Zmontował tę historyjkę o tym, ze jesteśmy skażeni, żeby ludzie się nas bali!

– Tak – powiedział Sandoz. – No i będą się nas bali. To kompletnie niszczy nasze plany. Teraz, nawet jeśli dostaniemy się do Syrtis, nikt nie będzie nas chciał słuchać. Będą wrzeszczeć o policję i uciekać przed nami.

Zapadła ciężka cisza, a Farrow wpatrywał się w reflektory kolejnych pojazdów, wyjeżdżających z miasta — miasta, którego mieszkańcy mogliby spokojnie żyć na Ziemi, gdyby tylko poznali prawdę.

– Co więc teraz zrobimy? – spytała Jen.

Sandoz powiedział pozbawionym nadziei głosem

– Obawiam się, że nas mają. Nie możemy wyruszyć do innych oaz, do innych miast. Zanim tam dotrzemy otrzymają od Bartha tę samą wiadomość.

– Nie pozostało nam więc nic innego, jak tylko czekać aż nas złapią? – z niedowierzaniem spytała Jen.

– Niech mnie diabli, jeśli tak zrobię – oznajmił Farrow. – Jeżeli nie możemy teraz dostać się do Syrtis, ani do innego z ziemskich miast, musimy pojechać gdzie indziej.

– Odważne słowa, ale nie znasz Marsa – odparł Sandoz. – Nie ma *żadnego* miejsca poza oazami. Tylko pustynia.

– Jest jeszcze dolina Ibimów – poprawił go Farrow. – Ludu T'laa.

– Och, nie – szybko odpowiedział Ibim. – Moi rodacy nie pozwalają na wstęp Ziemianom.

– Nawet po to aby uratować samych siebie? – powątpiewał Farrow. – Barth złapał ciebie, T'laa. Ile czasu upłynie, zanim będzie potrzebował jakiegoś innego Ibima na potrzeby Planistów? Jak myślisz, jak długo pozostawi waszą dolinę w spokoju?

Kiedy T'laa odpowiadał, w jego głosie również było słychać niepokój.

– Tak, ja również się tego obawiam. To właśnie z tego powodu chciałem wam pomóc w ujawnieniu kłamstw, tak by Ziemianie mogli opuścić Marsa i zostawić nas w spokoju.

– Aby tego dokonać, potrzebujemy pomocy – argumentował Farrow. – Przede wszystkim jakiegoś miejsca schronienia, a następnie pomocy w tym, aby tutejsi ludzie nas wysłuchali, pomimo działań Grummana i Bartha.

– Niczego nie rozumiesz – odparł ze strapieniem T'laa. – Ibimowie nie pozwolą wejść do doliny ani wam, ani żadnym innym Ziemianom. Nasze życie jest oparte na umyśle. A obecność obcych myśli jest dla nas za bardzo rozpraszająca, wręcz nie do zniesienia.

Farrow pomimo wszystko nie chciał się poddać. Do rozbicia spisku oligarchii planistów, potrzebowali sojuszników. Pomiędzy mieszkającymi na Marsie Ziemianami, nie było nikogo, kto nie byłby pod wpływem tego komunikatu. Ibimowie byli ich jedyną szansą.

– Mógłbyś spowodować, że twój lud nas zrozumie – powiedział szorstko do T'laa. – Musisz tylko im wyjaśnić, że jesteśmy dla nich jedyną szansą na pozbycie się stąd wszystkich Ziemian, zanim ci Ziemianie staną się dla nich poważnym kłopotem.

T'laa milczał. Czekali dalej, a reflektory pojazdów patrolowych, krążących w ciemnościach, coraz bardziej zbliżały się do nich. W końcu T'laa przemówił:

– To nic nie da. Znam dobrze Ibimów. Ale jestem skłonny spróbować.

– A więc jedziemy, Sandoz! – polecił Farrow. – T'laa pokaże nam drogę.

Pojazd potoczył się dalej, ciągle bez świateł, zjeżdżając z półkola, które wcześniej zataczał, i kierując się na północ, zgodnie ze wskazówkami T'laa.

– Na tym piasku zostawiamy taki ślad, że nawet dziecko mogłoby nim pójść za nami – powiedziała Jen.

– To nie robi żadnej różnicy – rzucił przez ramię Sandoz. – Kiedy nadejdzie dzień, wyślą na poszukiwania samoloty. Nasza jedyną szansą jest szybkość.

– Nawet szybkość nie zda się na nic – wymruczał T'laa. – Jestem pewien, że Ibimowie was nie wpuszczą.

Farrow w końcu eksplodował:

– Z jaką cholerną bandą defetystów muszę podróżować! Przecież wszyscy nienawidzicie Bartha równie mocno jak ja! Musimy się wyrwać z tej matni i powalić go na dobre. Możemy tego dokonać.

Dodał po chwili:

– Sandoz, pokaż mi jak prowadzić tę rzecz, to za chwilę cię zmienię. Mamy dostatecznie dużo paliwa aby dojechać na miejsce?

Sandoz odparł suchym tonem:

– Od twoich czasów, zrobiliśmy jednak pewne postępy, Farrow. W tym pojeździe silnik jest jądrowy. Również tego typu są wszystkie nasze elektrownie. Dlatego właśnie musimy latać na Ziemię, w poszukiwaniu radioaktywnych rud.

Świt zastał Farrowa u kierownicy, obok niego siedział T'laa, a Sandoz i Jen spali na tylnich fotelach. W krótkim czasie rozgwieżdżone niebo zalał czerwony ogień. Potem pojawiło się oślepiające małe słońce, i niebo zmieniło kolor najpierw na cytrynowy, a następnie na ciemnozłoty. Po obydwu stronach trasy którą jechali, wyrosły niskie, rdzawo-czerwone skaliste wzgórza, a kilka mil z przodu widać było strome czerwone ściany skalne, o wysokości setek stóp. Nigdzie ani jednego źdźbła zielonej trawy, wody, życia. Pod ciemnozłotym niebem w nieskończoność rozciągały się tylko piasek i skały.

Farrow powiedział sobie: „Jestem na Marsie". Ciągle nie mógł w to uwierzyć. Powietrze było rzadkie i zimne, a ciężar wydawał się dziwnie nieodpowiedni, ale te rzeczy nie

wystarczały do tego, by przekonać umysł do tego, że opuścił swoje czasy i swoją planetę, przenosząc się do tego ostatniego schronienia cywilizowanych ludzi.

Odwrócił głowę i spojrzał na Jen. We śnie jej twarz utraciła te dzikie jastrzębie rysy i stała się delikatna jak u dziecka. Poczuł nagły przypływ ciepłych uczuć do niej. Dla dziewczyny z ziemskich plemion leśnych, wszystko to musiało być jeszcze bardziej wstrząsające niż dla niego, a przecież jak dotąd, nie okazała nawet cienia strachu czy słabości. Pomyślał sobie, że Jen i jej rodacy warci są tego, by za nich walczyć, warci tego, by pomóc im wrócić na drogę cywilizacji.

– Czy jesteś pewien, że to naprawdę im pomoże? – zapytał T'laa.

Farrow drgnął zaskoczony, a potem stwierdził:

– T'laa, chciałabym żebyś mówił mi, kiedy czytasz moje myśli. – Następnie spytał: – Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Chciałem przez to powiedzieć, że nie wiem czy cywilizacja maszyn naprawdę jest tym, czego można tak mocno pragnąć.

Farrow wzruszył ramionami.

– Takie dyskusje odbywają się już od czasów starożytnej Grecji. Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Wiem tylko, że byłem naukowcem, że ludzie na Ziemi stworzyli cywilizację naukową, oraz że chcę aby ponownie ją mieli.

– Po to, aby ponownie mogli zniszczyć siebie i swoją planetę? – spytał T'laa.

Farrow popatrzył na Ibima.

– Myślę, że czegoś nauczyliśmy się na wydarzeniach z przeszłości. A co z twoimi rodakami? Skoro wasze życie oparte jest na umyśle, tak jak nam wcześniej mówiłeś, to czy wy również nie próbujecie opanować natury?

– O, nie – oznajmił Ibim. – My próbujemy zrozumieć naturę, a nie ją opanować.

– Ale żeby zrobić nawet to, potrzebujecie danych.

– Tak – odparł Ibim, – ale przecież my je mamy… dane zebrane przez miliony okresów życia.

Farrow nie do końca zrozumiał jego słowa, ale zanim zdążył to powiedzieć, T'laa uniósł swoją pokrytą futrem rękę, prosząc o ciszę.

– Ktoś się zbliża.

Natychmiast Farrow odwrócił się do tyłu, ale na rozciągającym się za nimi czerwonym pustkowiu, w zasięgu wzroku nie było widać nikogo. Potem usłyszał głośny świst. Wystawił głowę przez okno i spojrzał w górę. Zobaczył mały samolot z niesamowicie rozłożystymi skrzydłami, mknący wysoko w górze na tle ciemnozłotego nieba. Maszyna wykonała zwrot i poleciała z powrotem w stronę Syrtis.

– Wyłapałem odrobinę z myśli pilota – powiedział T'laa. – Wywoływał właśnie Bartha i przekazywał mu, że nas zlokalizował i że wyprzedzamy go tylko o pięć mil.

W odpowiedzi Farrow mocniej nacisnął pedał gazu. Pojazd skoczył do przodu, kołysząc się i rzucając za każdym razem, kiedy natrafił na najmniejszy nawet kamień. Niemal natychmiast obudziło to Sandoza i Jen, i Farrow nie odwracając głowy opowiedział im o wszystkim.

– Jak daleko jeszcze do tej twojej doliny, T'laa? – ostro zapytał Sandoz.

– Dziesięć waszych mil, może dwanaście.

– Niedobrze – wymamrotał Sandoz. – Barth zabrał ze sobą najszybsze pojazdy w Syrtis. Lepiej się pośpieszmy.

– Przecież nie stoję w miejscu – odparł Farrow.

Prowadził pojazd gnając naprzód po twardo ubitym czerwonym piachu. Gąsienice buksowały szaleńczo wszędzie tam, gdzie napotkały bardziej sypkie podłoże. Słońce piekło niemiłosiernie, nawet pomimo chłodu powietrza, i coraz bardziej się pocił.

Czerwone ściany skalne, stopniowo się zbliżały. Wyjechali spomiędzy niskich wzgórz i przed nimi do podstawy klifów wznosił się płynnie dwumilowy odcinek łagodnie nachylonego stoku. Farrow pomyślał sobie, że chyba uda im się dojechać do skał.

– Skręt w prawo! – nagle ostrzegł go T'laa. – *Szybko*!

Farrow wykonał polecenie i w niemal w tej samej chwili po piachu przed nimi przemknął jakiś cień, a góry błysnął cienki ognisty miecz energii, trafiając w ziemię nieco na lewo od nich.

Spojrzał w górę i nisko nad ziemią zobaczył samolot, który wykonał właśnie szybki zwrot i z głośnym gwizdem mknął już z powrotem, wykonując drugie podejście w ich kierunku.

– Barth rozkazał im nas zatrzymać – ponuro stwierdził Sandoz.

Farrow pomyślał, że nie mieliby żadnej szansy, gdyby nie było z nimi T'laa i jego mocy parapsychicznych. Jechał dalej w stronę klifów, i kiedy T'laa ponownie ostro krzyknął, był gotowy i natychmiast gwałtownie rzucił samochodem w bok.

Wyładowanie energii ponownie chybiło i samolot odleciał, ale w następnej chwili rozległ ostry trzask, kiedy ich prawe przednie koło uderzyło w okrągłą czerwoną skałkę o wysokości dwóch stóp. Skręcił prosto na nią.

Farrow szaleńczo szarpnął kierownicą i udało mu się uchronić pojazd przed wywróceniem się do góry kołami. Zakręcił się dookoła, ze zgrzytem protestujących blach, a potem zatrzymał.

– Jesteśmy tylko o milę od wejścia do doliny – powiedział T'laa. – Musimy pobiec.

Wyszli z pojazdu. Jen wskazała ręką w dół stoku, głośno krzycząc. Na dole błyszczały w słońcu dwa pojazdy, zbliżając się w szybkim tempie.

Z przeraźliwym wyciem ponownie nadleciał samolot i wszyscy rzucili się na piach. Rozległ się odgłos trzasku i uderzenia, a następnie doleciała ich fala gorąca, a potem zapach spalenizny.

– Szybko – powiedział Farrow, zrywając się na nogi. – Zanim ten przeklęty samolot znowu nadleci.

Popędzili w stronę klifów. T'laa mknął na czele, ze zwinnością wielkiej małpy, w biegu wyglądając zresztą dosyć podobnie do niej.

Z przodu otworzyła się wąska rozpadlina w skalnej ścianie, niemal zwykła szczelina. Jednocześnie usłyszeli za sobą samolot ponownie schodzący w dół, którego przerażający gwizd odbijał się niesamowitym echem od znajdującego się tuż przed nimi czoła klifu. Tym razem jednak byli po prostu szybsi i zanurkowali w rozcięcie w skale.

To była faktycznie szczelina, która miała nie więcej niż sześć stóp szerokości. Na skałach widoczne były oznaki odwiecznej erozji wodnej. Farrowowi wydawało się, że to musi być naturalna rozpadlina, która w minionych wiekach została wypłukana przez bieżącą wodę.

Usłyszał ryk silników i odwrócił się do tyłu, widząc obydwa pojazdy Bartha pędzące w górę stoku. Miał przy sobie zapasowy pistolet energetyczny i chciał teraz po niego sięgnąć, pytając Sandoza jak się strzela z tej broni.

– Nie! – ostro polecił T'laa. – Jeżeli z waszej strony pojawi się najmniejszy ślad przemocy, Ibimowie nigdy was nie przyjmą.

Po tych słowach T'laa ruszył rozpadliną w głąb skalnej ściany. Farrow poszedł za nim, trzymając Jen za rękę. Sandoz również ruszył w ich ślady.

Skalna szczelina była lodowato zimna i głęboko zacieniona. Echo własnych kroków odbijało się w uszach głośnym hukiem. Wkrótce rozcięcie zaczęło się wić we wszystkie strony. Z tyłu dobiegły do nich echa innych szybkich kroków.

– Barth ciągle nas ściga – ponurym tonem powiedział Sandoz. – Gdyby nie to co powiedział nam T'laa, przygotowałbym tu niewielką zasadzkę.

Pobiegli więc dalej i nagle przed nimi pojawiło się więcej światła. Szczelina przechodziła nagle w wielki, głęboki wąwóz, pomiędzy potężnymi klifami skalnymi, dziwną dolinę, której ściany wznosiły się tak stromo i tak wysoko, że poranne słońce nie było w stanie dosięgnąć jej dna.

Dalej, w głębi otoczonego skałami wąwozu, Farrow dostrzegł ślad bladej zieleni roślin. Potem zorientował się, że to co do tej pory z oddali uważał za dziwne formacje skalne, było potężnymi, fantastycznymi budowlami z kamienia. W głębi tej pełnej skał i cieni doliny wyrastało miasto, groteskowa metropolia ze spiczasto zakończonymi kopułami, wachlarzami i poskręcanymi iglicami, wyglądająca w półmroku ponuro i nierealnie.

Po raz pierwszy Jen okazała strach, cofając się i opierając o Farrowa.

– Wszystko jest w porządku – zapewnił ją. – Chodźmy dalej.

– Nie, zaczekajcie – szybko wtrącił T'laa. – Nie możecie wejść dalej bez pozwolenia Ibimów. Stąd mogę już z nimi się skontaktować.

Czekali w napięciu, podczas gdy T'laa stał bez ruchu, twarzą w stronę odległych, starodawnych budowli. Z rozcięcia w ścianie skalnej dobiegały ich głośne echa.

T'laa zwrócił w końcu swoje pełne żalu oczy w ich stronę. Powiedział:

– Jest tak jak się tego obawiałem. Ibimowie odmawiają przyjęcia was. Powiedzieli, że musicie wracać.

– Wracać w łapy Bartha? – zawołała Farrow. – Niech mnie diabli jeśli to zrobię! Idziemy dalej z ich pozwoleniem lub bez niego.

Zrobił krok do przodu, trzymając za rękę Jen. Wtedy jednak nagle wydało mu się jakby jakaś zimna dłoń chwyciła go za mózg, całkowicie paraliżując wolną wolę. Własne nogi i ręce nie chciały go słuchać. Całkowicie bezwolnie odwrócił się i ruszył z powrotem w wąskie przejście w skale. Jen i Sandoz podążali za nim sztywno i niezgrabnie.

– Moi rodacy powiedzieli, że muszą *siłą* skłonić was do odejścia – oznajmił T'laa.

Rozdział 7

Farrow pchnął umysł do szaleńczego wysiłku, usiłując przełamać tę dziwną, narzuconą mu z zewnątrz kontrolę. Kontrolę, która siłą zmuszała go do marszu w stronę rozpadliny. Szli w kierunku Bartha, w kierunku śmierci, musiał więc wyrwać się spod tego mentalnego przymusu.

Nie był w stanie tego zrobić. Ręce i nogi nadal odmawiały posłuszeństwa jego woli. Były posłuszne rozkazom innych, poleceniom parapsychicznym transmitowanym przez inne umysły. Zdawał sobie sprawę, że Ibimowie potrafią wchodzić do umysłów innych ludzi i je odczytywać. Nigdy jednak mu się nawet nie śniło, że będą w stanie zrobić coś takiego.

Byli już niemal przy wejściu do rozpadliny i zaraz mieli się w nią zagłębić. Sandoz i Jen szli równie sztywno jak on sam. W oczach dziewczyny z Ziemi, Farrow dostrzegał przerażenie. Chciał powiedzieć jej coś pocieszającego, ale nie mógł. Potem przed nimi pojawiła się postać idącego T'laa.

W mgnieniu oka przymus dalszego marszu przed siebie, osłabł. Farrow usłyszał w głowie potężną, zatroskaną myśl.

– T'laa ty zostań tutaj! Nie musisz odchodzić razem z Ziemianami!

Potem Farrow przechwycił błysk myśli, który przenosił odpowiedź T'laa.

– Jeżeli wysyłacie ich na śmierć, wysyłacie również i mnie. Ponieważ to ja ich tutaj przyprowadziłem, muszę dzielić ich los.

Przez umysł Farrowa przetoczył się splątany wir myśli za i przeciw, dyskusja impulsów mentalnych tak szybkich, że nie mógł ich wychwycić.

Nagle tłamszący jego ośrodki motoryczne i kończyny przymus został zdjęty. Poczuł, że chwieje się i drży, ale ponownie był sobą.

Jen wyrzuciła z siebie zduszony okrzyk. Farrow podskoczył, lekko się słaniając się, do jej boku i przytrzymał ją, otaczając ramieniem. Sandoz głośno klął. T'laa przerwał to jednak, mówiąc do nich gwałtownym, naglącym tonem:

– Ibimowie zgodzili się was wysłuchać – oznajmił. – Ale szybko…

Poprowadził ich w dół porośniętego rzadką trawą stoku, opadającego spod czerwonych ścian skalnych, w stronę odległego pełnego cieni kamiennego miasta. Zanim przeszli jedną czwartą mili, Sandoz zaklął. Odwrócił się z wyciągniętą bronią.

– Nie strzelaj! – ostrzegł go T'laa. – Ibimowie się nimi zajmą.

Farrow okręcił się na pięcie. Z rozpadliny wyłonili się Barth i kilku innych ludzi. Stanęli przed nią, celując do nich z broni.

Z tej odległości strzały z blasterów rozerwały by ich na kawałki. Farrow pociągnął Jen za siebie w daremnym geście.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Wpatrywał się w Bartha i jego ludzi. Byli na tyle blisko, że dostrzegał kwadratową twarz Bartha i jego piaskowe włosy. Jednak jak do tej pory żaden ze stojących w górze nie wystrzelił.

Potem, poruszając się sztywno i mechanicznie, Barth i jego ludzie opuścili broń. Odwrócili się i powędrowali, podobni poruszającym się powoli automatom, z powrotem do przejścia w skalnej ścianie.

– Mówiłem wam, że Ibimowie ich odtrącą – powiedział T'laa.

– Wolałbym, jak mi Bóg miły, żeby ich zabili – odparł cały spocony Farrow.

T'laa zwrócił w jego stronę strapione spojrzenie.

– Wytłum w sobie takie gwałtowne myśli, albo zostaną one wykorzystane przeciwko tobie. Jedynie z najwyższym wysiłkiem, przekonałem moich rodaków, do tego aby pozwolili wam tutaj wejść.

Farrow uspokoił się.

– Widziałem to i słyszałem. Dziękuję, T'laa, za wszystko co dla nas zrobiłeś.

– Nie ciesz się za wcześnie – powiedział ze zmartwieniem w głosie T'laa.

Sandoz nadal wpatrywał się rozpalonym wzrokiem w skalny klif.

– A co, jeśli Barth i jego ludzie spróbują ponownie?

– Nie zrobią tego, ale nawet gdyby mieli taki zamiar, to Ibimowie czuwają, i siła ich połączonych umysłów, znowu skieruje ich do tyłu – stwierdził T'laa. – A teraz już chodźcie.

Ruszyli w głąb doliny, ale podobnie jak i Sandoz, Farrow od czasu do czasu spoglądał z niepokojem za siebie.

Rzadka trawa ustąpiła starannie uprawianym kawałkom pól, porośniętym roślinami o szerokich liściach, w takim samym zielonkawożółtym kolorze. Pomiędzy nimi do miasta prowadziła wąska droga.

Znajdujące się przed nimi budynki pogrążone były w chłodnym cieniu. Pod względem ogromu masywnych kamiennych konstrukcji przywodziły trochę na myśl surowe budowle starożytnego Egiptu, ale ich fantastyczne kształty, nie przypominały żadnej ziemskiej architektury. W tym miejscu rozciągały się na całą szerokość doliny, otaczając siedmiokątny budynek o większych rozmiarach. Te odwieczne kamienne stosy, wyglądały jakby nadgryzione zębem milionów lat.

Farrow popatrzył na niewielką, podobną do małpy, postać stojącego obok niego T'laa, i spytał go ze zdumieniem:

– Tak właściwie, to kiedy twój lud to zbudował?

– To było w bardzo odległych czasach – wyjaśnił T'laa, – kiedy jeszcze używaliśmy maszyn i sił, z których teraz już nie korzystamy. To właśnie wtedy nie tylko zostało zbudowane to miasto, ale również stworzyliśmy system podziemnych sączków, wyciągający wilgoć z głębokich warstw gruntu.

Farrow pomyślał sobie, że T'laa mówi tak, jakby sam pomagał w tej niesamowicie starodawnej pracy, i poczuł się lekko zaintrygowany.

Weszli już do miasta, wędrując w zimnych cieniach. Z okien i drzwi nadgryzionych zębem czasu budynków, spoglądali na nich Ibimowie.

Generalnie podobni byli do T'laa, ale było widać pewne różnice pomiędzy nimi. Różnice wynikające z płci i wieku. Niektórzy byli młodzi i mniejsi, inni starzy, o srebrzystym futrze. Wszyscy jednak spoglądali na ludzi z Ziemi w ten sam posępny, milczący sposób.

Jen przycisnęła się mocno do Farrowa. Sam Farrow również mocno odczuł wstrząs związany z ich obcością. Dawno temu, w jego czasach, kiedy na tę planetę przybyła Pierwsza Ekspedycja Marsjańska nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że Mars ma takie dzieci. Pierwsza Ekspedycja, koncentrując się na oazach, nigdy się z nimi nie spotkała.

– Czy mam przemówić do twoich rodaków? – dopytywał się Farrow. Jego cel przez cały czas stał mu przed oczyma, a ci Ibimowie byli jedynymi możliwymi sojusznikami.

– Później zostaniesz przepytany – odparł T'laa. – Ale nie teraz.

Poprowadził ich w stronę budynku w pobliżu siedmiokątnej budowli i weszli do niego do środka. Zakurzonym korytarzem z zimnego kamienia udali się do dużego zacienionego pomieszczenia. Na podłodze leżało kilka grubych mat z tkaniny i parę pięknych opalizujących naczyń i przedmiotów ze szkła. Poza tym nie było zupełnie niczego.

– Możecie odpocząć tutaj – oznajmił T’laa. W milczeniu przykucnął, wygodnie rozkładając swoje wiele kończyn, a potem popatrzył do góry na Jen, która nerwowo stała obok Farrowa. Powiedział: – Uciszcie swoje obawy. Nikt tutaj was nie skrzywdzi.

Jen zarumieniła się i Farrow pomyślał, że T’laa odczytał jej myśli. Usiadł obok Ibima i z niecierpliwością zapytał:

– To nie odpoczynek jest mi teraz potrzebny, ale możliwość przedstawienia sprawy twoim rodakom. Ta siła mentalna, której użyli w stosunku do nas i do Bartha — jest przerażająca. To mogłoby nam pomóc w szybkim zniszczeniu wielkiego kłamstwa Planistów.

– Nie wydaje mi się, żebyś mógł oczekiwać takiej pomocy – zniechęcająco odpowiedział mu T’laa. – Ale to zostanie omówione później. Wy, Ziemianie, żyjecie tak krótko, że bez przerwy musicie się gdzieś śpieszyć.

Farrow rzucił z irytacją:

– Mówisz tak, jakbyś ty sam miał co najmniej dziesięć tysięcy lat.

– Jestem dużo starszy – odparł T’laa.

Farrow, Sandoz i Jen z niedowierzaniem wpatrywali się w małego Ibima.

– Nie w tym ciele… Moje ciało jest młodsze od ciebie. Ale mój umysł ma wiele dziesiątków tysięcy lat.

– W jakim sensie? Co chciałeś przez to powiedzieć?

Pełne żalu, błyszczące czarne oczy, spojrzały na niego.

– Kiedy jeden z Ibimów ma umrzeć, dba o to, by jego umysł nie umarł razem z nim. Wykorzystując naszą wiedzę o tego typu sprawach, transferuje cały wzorzec mentalny swojego umysłu do bardzo młodego, nowonarodzonego Ibima. Potem umiera, ale jego umysł, cała jego pamięć, wiedza, żyje w mózgu i ciele młodszego Ibima.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem tego o Ibimach – ostro powiedział Sandoz.

– Jest wiele rzeczy dotyczących Ibimów, o których nie wiesz – odparł T’laa.

Farrow ciągle był oszołomiony.

– Powiedziałeś dziesiątki tysięcy lat? Chodziło ci o to, że przekazywanie umysłu i wspomnień z jednego pokolenia na drugie trwało przez…

– Nawet jeszcze dłużej – wyjaśnił T’laa. – Są wśród nas tacy, którzy pamiętają Marsa, kiedy był jeszcze młodą, żyjącą planetą.

Farrow otworzył usta z niedowierzaniem. Potem, nagle, w jego umyśle błysnęła wizja, wyraźna, żywa i absolutnie realistyczna.

Spoglądał na zielonego i pełnego życia Marsa. Z pagórków, które nie były jeszcze takie zniszczone przez czas, po zboczach schodziły w dół urodzajne tereny, a spływająca ze wzgórz rzeka obmywała kraniec bajecznego szklanego miasta. W jednej chwili znalazł się w środku miasta, pomiędzy Ibimami. Ale ci Ibimowie nie byli porośnięci futrem, ich ciała okrywał złocisty puch. Błyszczące latacze brzęczały w powietrzu jak ważki, przylatując i odlatując do dalekich miast.

– Mieszkałem w tym mieście – dobiegła go myśl T’laa. – Nie w tym ciele, ciało Ibima, który wtedy żył zmieszało się już z prochem i pyłem połowy miliona minionych lat. Ale jego wspomnienia są moimi wspomnieniami, przekazanymi mi przez wszystkie dzielące nas pokolenia.

Farrow obejrzał potem szybki pokaz zmieniających się obrazów, kilkanaście kadrów pokazujących zmierzch tej planety, na przestrzeni minionego olbrzymiego odcinka czasu.

Widział zamierającą roślinność, i piasek nawiewany z coraz bardziej rozrastających się obszarów pustynnych. Widział jak wspaniałe szklane miasta, stają się ponure i smutne, stopniowo popadając w ruinę. Sucha śmierć pełzła i pełzła coraz dalej, i w końcu ostatni Ibimowie wycofali się do swojego starożytnego miejsca schronienia w dolinie, nie tworząc już, ani nie używając maszyn, żyjąc wyłącznie pamięcią i myślą.

Potem zdało mu się, że stoi razem z Ibimami w wielkiej ciemności nocy, obserwując potężne olbrzymy, schodzące w dół z rozgwieżdżonego nieba w morzu płomieni i grzmotów. Usłyszał jak Ibim mówi:

– Tym razem ludzie z trzeciej planety przybyli, aby zostać tutaj na stałe. Musimy zawrzeć z nimi układ. Oni nie będą nachodzić nas, a my nie będziemy nachodzić ich.

I nagle Farrow ocknął się w cienistym pomieszczeniu z kamienia, spoglądając w głębokie ciemne oczy T'laa, znajdujące się w odległości zaledwie kilku cali od jego oczu.

– Dlatego właśnie – cicho stwierdził T'laa, – nie wydaje mi się, aby moi rodacy mogli wam pomóc.

– Ale Barth złamał ten układ jako pierwszy, próbując dostać się tu siłą! – zawołał Farrow.

– Rzeczywiście, ale nigdy więcej już tego nie zrobi, ponieważ wie, że dysponujemy bronią umysłową, która jest w stanie go powstrzymać – odparł T'laa. Podniósł się na nogi. – Teraz odpocznij. Potem będziesz mógł przemówić.

Farrow obserwował jak odchodzi, opanowany czarnymi przeczuciami niepowodzenia. Odwrócił się do Sandoza i Jen i zobaczył w ich twarzach te same myśli.

– To była i tak słaba nadzieja – wymamrotał Sandoz. – T'laa ostrzegał nas przed tym.

– Możemy próbować ponownie dotrzeć z prawdą do ludzi, nawet jeśli Ibimowie nam nie pomogą – powiedział Farrow.

Sandoz pokręcił przecząco głową.

– Możemy próbować, ale daleko nie zajedziemy. Czy myślisz, że Barth tak po prostu sobie odjechał i zapomniał o nas?

To podsunęło Farrowowi do głowy nową myśl. Nie zastanawiał się zbyt długo nad tym pomysłem, ale być może był to jedyny argument jaki będzie miał, kiedy stanie przed obliczem Ibimów…

Kiedy stanął przed obliczem Ibimów, w wielkiej siedmiokątnej budowli, było już kilka godzin później. W międzyczasie nadeszła noc i kilka zapalonych żarówek, zalewało niesamowitym światłem rzędy twarzy, milczących postaci, jaśniejących oczu, Ibimów siedzących w kamiennych fotelach w sali posiedzeń, której nie wypełniali nawet w połowie.

Przemawiał do tych milczących szeregów nerwowo i w napięciu, mając za plecami Jen i Sandoza. Nie mógł nigdzie dostrzec T'laa, i wydawało mu się śmiesznym, że mówi w swoim języku do tych stworzeń, które mogły nie rozumieć jego słów, ale które, jak doskonale wiedział, rozumiały bardzo dobrze jego myśli.

Kiedy otrzymał odpowiedź, pojawiła się ona w jego umyśle, a nie została wyrażona słowami. Myśl ta pochodziła od pokrytego srebrzystym futrem Ibima, którego T'laa nazywał Vruna.

– Nie. To, o co nas prosisz, to abyśmy wmieszali się w spory pomiędzy Ziemianami.

– Proszę was, abyście poprzez pomoc dla mnie, bronili samych siebie – nalegał Farrow. – Jeżeli ludzie z Ziemi, żyjący tutaj na Marsie, poznają prawdę, będą szczęśliwi z tego, że mogą wrócić na Ziemię. Jeżeli nie poznają tej prawdy, pozostaną tutaj, i będziecie nieustannie atakowani przez Grummana i Bartha.

Nadeszła odpowiedź.

– Nie zaatakują nas. Teraz już wiedzą, że nie mogą dostać się do tej doliny wbrew sile naszych umysłów.

Farrow roześmiał się, bez śladu wesołości w głosie.

– Jeszcze wiele się musicie nauczyć o Ziemianach. Grumman i Barth są zdeterminowani, abyście się nas stąd pozbyli. Mogą użyć długodystansowej broni, której wasza umysłowa obrona nie będzie w stanie powstrzymać.

– Twierdzisz tak, Ziemianinie, ponieważ chciałbyś, abyśmy ci pomogli. Ale nie masz żadnego dowodu ich intencji.

Farrow uczepił się pomysłu, który przyszedł mu do głowy kilka godzin temu. Zadał pytanie, zdając sobie sprawę, że wszystko zależy od odpowiedzi, jaką otrzyma za chwilę.

– Tak? A więc powiedzcie mi, czy Barth i jego ludzie odjechali stąd i wrócili do Syrtis? Czy też może ciągle siedzą tam pod doliną i czekają?

Nastąpiła krótka chwila przerwy, a po niej dobiegła do niego myśl z odpowiedzią Vruny.

– Oni nie odjechali. Rozbili obóz u wejścia do doliny.

Farrow szybko oznajmił.

– Tego właśnie oczekiwałem! Barth zawiadomił Planistów, aby wysłali mu więcej ludzi i broni, tak by mógł zaatakować waszą dolinę z pełną siłą. Teraz właśnie na nich czeka.

Ponownie krótka przerwa.

– Ciągle jedynie spekulujesz co do ich intencji.

– A więc sprawdźcie moje domysły – odciął się Farrow. – Przekonajcie się sami, czy są one prawdziwe, czy nie.

– W jaki sposób?

– Możecie wślizgnąć się do obozu Ziemian pod doliną i odczytać ich myśli. Wtedy będziecie dokładnie wiedzieli, co planują.

Tym razem milczenie trwało dużo dłużej, i przez wiele minut nie docierały do niego żadne myśli, ani od Vruny, ani od milczącego tłumu cieni. Potem w końcu usłyszał w głowie:

– Przeprowadzimy tę próbę.

Farrow spytał z żarliwością:

– A jeżeli dowiemy się, że to ja miałem rację, pomożecie nam przeciwko Planistom?

– O tym pomyślimy, kiedy już wszystkiego się dowiemy – zabrzmiała myśl z odpowiedzią.

Godzinę później dwudziestu Ibimów, prowadzonych przez Vrunę wymaszerowało z ciemnego miasta w dolinie. Nie poszli jednak w stronę rozpadliny, ale roztopili się w mrokach nocy, wspinając się stromą ścieżką, wznoszącą się po wewnętrznej ścianie skalnej. T'laa wyjaśnił mu, że do doliny prowadzi jeszcze inna droga, którą znają jedynie Ibimowie.

Farrow z wysiłkiem podążał za milczącymi postaciami, razem z T'laa. Za nimi szli również Sandoz razem z Jen, ponieważ dziewczyna stanowczo odmówiła samotnego pozostania między Ibimami.

Wschodzące czerwone księżyce oświetlały grupkę futrzastych małych postaci, wspinających się po zdradliwej ścieżce. Patrząc na nich, a także na siebie, Sandoza i Jen, Farrow pomyślał sobie, że to naprawdę dziwaczna kompania, wyruszająca w drogę, żeby zdecydować o losie dwóch planet.

Rozdział 8

Fobos i Deimos, zmierzające obecnie już ku zachodowi, zalewały swoim zlewającym się światłem, kucającego obok T'laa i Vruny, Farrowa. Wszyscy trzej, razem z Sandozem i Jen, siedzieli schowani za skałą, u podstawy ciemnych klifów, z których właśnie zeszła cała grupa. Z tyłu, w ciemności, kryli się pozostali Ibimowie.

Farrow oznajmił:

– Chyba nie musicie się przejmować odczytywaniem ich umysłów. Tylko popatrzcie, tam na dół.

Tysiąc jardów w dół zbocza widać było mnóstwo zapalonych świateł i krzątających się w pośpiechu ludzi. Barth ze swoimi dwoma samochodami i sześcioma ludźmi, stanowił niewielką tylko część zgromadzonych sił. Pojawiły się dwa wielkie gąsienicowe transportery ciężarowe, wyładowane srebrzyście świecącymi mechanizmami o ostro zakończonych występach. Wokół nich biegało kolejnych kilku ludzi.

– To są wyrzutnie rakiet – wyjaśnił Sandoz. – Wykorzystywane były w bazie rakietowej do odpalania eksperymentalnych rakiet testowych, ale mogą również przenosić głowice bojowe.

– A więc po to kazał posłać Barth – powiedział Farrow. Odwrócił się w stronę dwóch Ibimów. – On wcale nie chce dostać się do waszej doliny. Może zniszczyć wszystko co się w niej znajduje z zewnątrz.

Zapadła cisza. Zdawał sobie sprawę, że T'laa i Vruna sięgali swoimi sondami parapsychicznymi do mózgów znajdujących się niżej ludzi.

Po kilku chwilach Farrowa dobiegła myśl Vruny, przepełniona zimną wściekłością.

– To prawda. Barth właśnie wydaje rozkazy, aby przygotowano rakiety do odpalenia. On i inni Planiści są zdeterminowani, aby zabić waszą trojkę z Ziemi i za wszelką cenę zachować swoją tajemnicę.

– To właśnie konieczność zachowania tajemnicy spowodowała, że wysłali tylko taką małą grupę – powiedział Farrow. – To nam ułatwia zadanie. Wy, Ibimowie, możecie przejąć kontrolę nad ich umysłami, tak jak to zrobiliście z nami w dolinie, i…

– Nie – przerwała my myśl Vruny. – Nie damy rady im wszystkim. Nie rozumiesz. Przejęcie mózgu człowieka wymaga wielkiej siły mentalnej, a moce naszych umysłów nie są nieograniczone. W dolinie wszyscy Ibimowie złączyli się i użyli wspólnie swoich mocy przeciwko wam.

Farrow poczuł ukłucie ostrego rozczarowania. Doświadczenia z doliny wywarły na nim takie straszliwe wrażenie, ze mimowolnie założył, iż kilku Ibimów zdoła mentalnie opanować dowolną liczbę ludzi.

– Ilu jesteście w stanie kontrolować na raz? – spytał.

– Trzech, być może czterech – odparł Vruna. – A nawet tych nie możemy zdominować w pełni.

Farrow zastanawiał się przez minutę.

– Skoncentrujcie się więc na ludziach przygotowujących te wyrzutnie rakiet. Spróbujcie zmusić ich do tego, by zniszczyli same wyrzutnie.

– A co potem?

Farrow wyjaśnił.

– Potem, kiedy ciągle będą zdezorientowani tym wszystkim, zaatakujemy ich. Mamy przewagę liczebną. Możemy ich rozbroić.

Tym razem milczenie było bardzo długie i brzemienne. Farrow domyślał się, że to był decydujący punkt jego wysiłków. Zrozumiał już do tej pory, jak wielką odrazę do stosowania przemocy, czują Ibimowie. Nie wiedział tylko, czy będą oni w stanie pokonać tę starodawną awersję, w obliczu tego oczywistego i bezpośredniego zagrożenia.

– Dlaczego nie mielibyśmy zniszczyć wyrzutni i pozwolić im odejść? – spytał Vruna.

– Ponieważ wtedy powrócą tutaj… i następnym razem wezmą ze sobą samoloty i bomby, jeśli tylko mają coś podobnego na stanie – odparł Farrow. – Planiści zawsze będą dla was zagrożeniem. A jeżeli uda nam się przełamać ich tajny spisek i powiedzieć Ziemianom na Marsie prawdę, z czasem wszyscy ludzie wrócą na Ziemię, i będziecie tutaj bezpieczni.

Zaczęli nad tym debatować, ale nie pozwolili mu na odbiór ich myśli. Czekał, zdenerwowany, myśląc nieustannie, że te rakiety niedługo będą gotowe do odpalenia.

Potem usłyszał silną myśl T'laa.

– A ja wam mówię, że Farrow ma rację. Sporo czasu przebywałem razem z Barthem i Planistami. Wiem co planują zrobić z nami w przyszłości. Jeżeli będziemy działać teraz, możemy uwolnić naszą planetę od Ziemian.

Z ulgą Farrow usłyszał myśl Vruny.

– Jest więc między nami zgoda. Będziemy walczyć. Obawiam się jednak, że Ibimowie nie są szczególnie biegli w konfliktach.

On i T'laa wstali, a potem Farrow, Jen i Sandoz, podeszli razem z nimi w górę zbocza, do ocienionego miejsca, w którym siedzieli pozostali Ibimowie.

Sandoz pesymistycznie pokręcił głową.

– Być może to wszystko się uda. Mam taką nadzieję. Ale mamy tylko jeden pistolet energetyczny, którego ja potrafię użyć, i drugi twój, a ty nie umiesz się nim posługiwać. Nic więcej, tylko gołe ręce. A Ibimowie nie są wojownikami.

– Przyniosłam to z miasta Ibimów – powiedziała Jen gwałtownym szeptem.

Trzymana w ręku rzecz rozbłysła w czerwonym świetle księżyców, długi szklany nóż, wspaniałej roboty.

– Teraz cicho – powiedział T'laa stłumionym głosem. Przykucnęli, obserwując i czkając.

Wszyscy Ibimowie zebrali się razem, wpatrując się w dół, w pracujących ludzi i stojące obok transportery. W niepewnym świetle księżyców, tłum milczących, ciemnych, małych postaci, z wielkimi lśniącymi oczyma, przywodził Farrowowi na myśl planetę wielkich małp, przycupniętych na murach świątyni.

Z dołu dobiegały do nich nieustannie odgłosy klikających przekładni i ponaglających głosów. Farrow widział pyski kolejnych wyrzutni, unoszące się do pozycji strzałowej.

Pomyślał sobie, że siedzenie tutaj i rozmyślanie o wrogu, to cholernie głupi sposób na rozpoczęcie walki. A w każdym razie to nie przynosiło efektów.

Ibimowie siedzieli i gapili się, przez cały czas bez najmniejszego ruchu.

Nagle z dołu doleciał potworny trzask metalu, po chwili kolejny, po którym nastąpiły wściekłe krzyki.

– Co wy robicie, do diabła? – krzyknął głos Bartha. – Powstrzymać ich…

– Na Boga, udało się! – powiedział Sandoz. – Ludzie obsługujący pociski rakietowe, rozwalają wyrzutnie.

Na dole, wokół ciężarówek, wznosił się coraz większy tumult. Farrow wyobrażał sobie zdziwienie i konsternację tych z ludzi Bartha, którzy nie zostali zaatakowani, kiedy zobaczyli jak ich koledzy niszczą wyrzutnie. W pierwszej chwili nie domyślili się, że sabotażyści znajdują się pod kontrolą mentalną z zewnątrz…

Farrow mylił się jednak, co do jednego z nich. Barth myślał szybko i stał poza kłębowiskiem bijatyki jaka rozgrywała się wokół transporterów. Szybko rozległy się jego gniewne okrzyki.

– To atak Ibimów na umysły naszych ludzi! Szybko, ogłuszyć ich czymś! Jeśli będzie trzeba, zabić!

Farrow zerwał się na nogi.

– To nasza jedyna szansa! Dalej, biegniemy… Ale Jen, ty zostajesz tutaj, razem z tym cholernym nożem.

Wraz z Sandozem ruszyli w dół zbocza, a wokół nich wyroili się Ibimowie, skacząc jak małpy. Razem pośpieszyli w stronę toczącej się przy transporterach walki.

Dokładnie przed nimi, z kłębowiska walczących ludzi, wyrwał się jakiś rosły człowiek. Odwrócił się przodem do nich. Barrow zobaczył wściekłą twarz Bartha i zdał sobie sprawę, że tamten ich zauważył. Barth miał przy sobie broń, ale dziwnie się zawahał.

Biegnący obok Farrowa T'laa zawołał sapiąc:

– Nie mogę go utrzymać… pośpiesz się!

Barth odpierał atak mentalny T'laa i już unosił pistolet w górę. Farrow rzucił się głową do przodu, w stronę jego nóg i poczuł jak nad nim przelatuje skwierczący ładunek energetyczny. Złapał Bartha i przewrócił go na ziemię.

Potoczyli się razem po zboczu. Barth próbował uderzyć go pistoletem. Spoza jego pleców, Barrow wychwycił przelotny widok Ibimów, rzucających się ze wszystkich stron na kompletnie zdezorientowanych ludzi stojących koło transporterów. Usłyszał wystrzały z broni i okrzyki bólu. W tym momencie Barth przekręcił swój pistolet, uderzając go nim w głowę, i mózg Farrowa zwinął się w supeł. Uchwyt w którym trzymał Planistę zelżał, i tamten wyrwał się, odtoczył i wycelował w niego swój pistolet. Jego twarz była sina z nienawiści.

Farrow szaleńczo skoczył znowu na niego, ale zdawał sobie sprawę, że tym razem był zdecydowanie spóźniony, i że za chwilę ten wyładowanie z pistoletu przetnie go na pół.

Coś świecącego przeminęło koło niego i twarz Bartha dziwnie się zmieniła. Rzucił pistolet i jego dłoń mechanicznie powędrowała w górę, do szklanego przedmiotu sterczącego mu z gardła. Po chwili upadł do przodu i leżał nieruchomo.

Farrow zdezorientowany odwrócił się raptownie i zobaczył stojącą za nim Jen. Powiedział:

– Dobry Boże, ty…

– To za mojego brata – odparła.

Podniósł się na nogi. Dwóch Ibimów leżało martwych, a obok nich trzech ludzi z ekspedycji Bartha. Pozostali podwładni Bartha cofali się, oszołomieni przez walkę i przez mentalne ataki Ibimów. Sandoz wycelował w ich stronę trzymaną w ręku broń i ostro zawołał:

– Odsunąć się od transporterów! Każdy, kto będzie miał jeszcze broń, zostanie zabity!

Vruna, srebrzystowłosy Ibim, stał obok Farrowa, i Ziemianin pochwycił myśl, która mu się wymknęła, pełną silnego obrzydzenia do samego siebie.

– Wystarczająco dużo było już zabijania, a my Ibimowie w nim pomagaliśmy… Po raz pierwszy od tysięcy lat. Koniec z tą brudną robotą!

– Posłuchaj – pośpiesznie wtrącił się Farrow. – Musimy teraz pojechać do Syrtis City, albo wszystko co tu zrobiliśmy pójdzie na marne.

Vruna skierował na niego swój ponury wzrok.

– A kiedy już tam będziemy, to co? Kolejne zabójstwa?

– Wcale tak nie musi być – odparł Farrow. – Przy waszej pomocy, i tylko pod tym warunkiem, może uda nam się dostać do Grummana. Jeżeli zdołamy zmusić *jego*, żeby przyznał publicznie, że Planiści kłamią, że Ziemia jest absolutnie zdatna do życia… Jemu uwierzą.

Sandoz, nie odwracając się do nich, powiedział:

– Nie, Farrow. Nie uwierzą. Moi rodacy przez tak długi czas byli przekonywani, że Ziemia jest radioaktywną pustynią, że tak szybko nie zmienią teraz swojgo zdania. Muszą widzieć oczywiste dowody.

Farrow gapił się na niego w osłupieniu.

– A czy taki dowód w ogóle istnieje?

Sandoz skinął potwierdzająco głową.

– Wszystkie te fotografie, dane i raporty, jakie przywieźliśmy z dwóch wypraw na Ziemię w poszukiwaniu surowców. Wszystko to powędrowało co Centrum Planowania, do Rady Planistów.

– Na Boga, jeśli uda nam się zdobyć te materiały i pokazać je twoim rodakom, to załatwi całą robotę! – zawołał Farrow. Odwrócił się do Vruny. – Nie proszę was teraz o użycie fizycznej przemocy. Ale będziemy potrzebować waszej pomocy mentalnej. Czy pojedziecie z nami?

Vruna wahał się. Farrow domyślał się jakie potężne zmagania toczą się w umyśle Ibima, konflikt pomiędzy gorącym pragnieniem uwolnienia Marsa od Ziemian, i równie gorącym obrzydzeniem w stosunku do przemocy.

Usłyszał spokojną myśl T'laa, przekazaną wszystkim zebrany dookoła.

– Vruna, w Syrtis nie będziemy musieli nikomu odbierać życia. Wręcz przeciwnie, jeżeli zapobiegniemy zabiciu tych tutaj, naszych przyjaciół, uratujemy czyjeś życie.

W końcu myśl Vruny przyniosła odpowiedź.

– Pojedziemy. Ale nikogo już nie zabijemy… ani dla was, ani dla samych siebie, ani dla nikogo innego!

– A więc jedźmy jak najszybciej! – ponaglił ich Farrow. – Ludzi Bartha możemy zostawić tutaj. Rozbrojeni w żaden sposób nie mogą zaszkodzić waszej dolinie. Zabierzemy ich transportery, resztę pojazdów uszkodzimy.

– Pół godziny później, dwa transportery półgąsienicowe z rykiem silników zjechały po zboczu i wyruszyły na zalaną księżycowym światłem pustynię. Jeden z nich prowadził Farrow, Jen i T'laa siedzieli w fotelu obok niego, a połowa Ibimów przycupnęła w przedziale ładunkowym transportera. Drugi pojazd, z resztą Ibimów, prowadził Sandoz.

Godzinę później oba transportery pędziły przez pustynię. Bliższy księżyc schował się pod horyzontem i widoczność pogorszyła się, czyniąc szybkość z jaką się poruszali, jeszcze bardziej niebezpieczną. Sandoz i jego transporter pokazywali drogę, a Farrow miał tylko nadzieję, że się nie zgubi.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim Jen krzyknęła głośno i Farrow, daleko w dole, w wielkiej płytkiej misie ciemnej oazy, nie zobaczył masy migoczących świateł, wskazującej, że zbliżają się do największego miasta Ziemian na Marsie.

– Nie zostało nam zbyt wiele czasu – ostrzegł ich T'laa. – Już niedługo wstanie dzień.

Farrowowi przemknęła przez głowę myśl, czy teraz, kiedy zbliża się punkt kulminacyjny, mały Ibim nie żałuje czasami udziału w tym przedsięwzięciu.

– Nie, nie żałuję – odparł mu T'laa. – Ale Vruna ma mnóstwo wątpliwości.

Zjeżdżali ze zbocza wielkiej misy. Za nią, w górze, na płaskowyżu na tle gwiazd wznosiły się srebrzyste wieże wielkich rakiet. Jeśli im się uda, to te rakiety, i kolejne nowe, zabiorą oszukane dzieci Ziemi z tego wygnania, z powrotem do ojczyzny. Determinacja Farrowa jeszcze okrzepła.

Sandoz pokazywał drogę, i wkrótce dwa transportery obudziły głośne echa na ciemnych i śpiących ulicach Syrtis. Mijali olbrzymie szklarnie hydroponiczne, magazyny i fabryki, ulice pełne betonowych domów, wyglądające tak po ziemsku, że dobitnie świadczyły o nostalgii

swoich budowniczych. Paru ludzi z zaskoczeniem spoglądało na pędzące transportery, z zamontowanymi wyrzutniami, ale nikt z nich nie zauważył przycupniętych w przedziałach ładunkowych Ibimów.

– Centrum Planowania – oznajmił T'laa, ledwie słyszalny przez ryk silników.

Transporter Sandoza skręcił w stronę małego placu, który był niemal zupełnie otoczony masywnym betonowym budynkiem w kształcie litery U. Na dziedziniec wewnątrz U prowadziła wysoka brama ze stalowych słupków. Była zamknięta, a za nią na warcie stało dwóch ludzi.

– Teraz wszystko zależy od was, Ibimów – powiedział Farrow do T'laa.

– Tak. Bądź cicho – odparł T'laa.

Jeden ze strażników spoza bramy ostro wykrzyczał wezwanie dla obu transporterów.

– Czy jest z wami Barth? Planiści czekają przez całą noc żeby zgłosił się do nich, i …

Strażnik nagle przestał mówić. Na jego twarzy, podobnie jak i na twarzy stojącego obok niego kolegi, pojawił się dziwny, sztywny wyraz. Potem ruszył mechanicznie w stronę bramy.

Farrow wiedział, że to Ibimowie w transporterach pochwycili obu ludzi, opanowując ich umysły. Z napięciem obserwował, jak strażnik niezdarnie przekręcił klucz i otworzył bramę. Transportery wtoczyły się na dziedziniec.

Farrow wyskoczył z transportera, a za nim Jen i T'laa. Trzymał w ręku pistolet energetyczny, chociaż nie za bardzo wiedział jak się go używa. Pomyślał ironicznie, że jeśli spróbuje z niego wystrzelić, to najprędzej zrobi krzywdę sobie samemu, ale dzięki niemu czuł się bardziej spokojny.

Z tyłu transporterów wysypali się Vruna i inni Ibimowie, ciągle utrzymując dwóch strażników jako zombie, zaś Sandoz podbiegł i zamknął za nimi bramę.

– Uwaga! – nagle zawołał T'laa. – Nadchodzą inni…

Z głównych drzwi wielkiego budynku wybiegło kolejnych dwóch strażników, trzymających w rękach broń i strzelających. Powietrze tuż nad ziemią przeszyły trzeszczące wyładowania, a Vruna nagle przesłał wszystkim cichą myśl.

– Oto do czego prowadzi przemoc. Zapamiętajcie to sobie, moi drodzy.

Stary Ibim upadł, z odstrzeloną niemal połową ciała. Sandoz otworzył ogień spod bramy ze swojej broni, i jeden ze stojących w pobliżu drzwi strażników, upadł. Drugi z nich nagle upuścił swoją broń, wyglądając jak drewniana, pozbawiona życia, kukła, podobny do tych dwóch, którzy otworzyli bramę.

– Trzymajcie ich – oznajmiła myśl T'laa. Przez tłum futrzastych Ibimów przebiegł dreszcz lęku i wściekłości. – Trzymajcie ich.

I ich trzymali. Kiedy zabierano im broń, cała trójka stała jak posągi. Chwilę później Farrow i Sandoz wbiegli do budynku, a zaraz za ich plecami Jen i T'laa.

Weszli do szerokiego, oświetlonego miękkim światłem korytarza, o betonowych ścianach, pomalowanych na pastelowy kolor. Sandoz powiedział:

– Tędy.

– Poczekaj. Nadchodzą – oznajmiła myśl T'laa.

Jedne z drzwi otworzyły się gwałtownie i na korytarz wypadł Grumman. Jego pulchna twarz była rozgniewana i wystraszona. Za plecami miał czterech innych mężczyzn w średnim wieku i starszych.

– Co, u diabła, się tutaj dzieje? – zaczął mówić Grumman, ale natychmiast przerwał, a na widok zbliżającego się korytarzem kwartetu, złożonego z dwóch ponurych mężczyzn z bronią w ręku, tubylczej dziewczyny z Ziemi i Ibima, obwisła mu szczęka.

– To są Planiści – kwaśno wyjaśnił Sandoz. – O, tak. Ci sami Planiści, którzy wiedzą co będzie dla nas najlepsze. Których mądre rządy spowodowały, że przeżycie na Marsie, było w ogóle możliwe. Powinienem od razu ich zabić.

Pięciu mężczyzn, stanowiących oligarchię Ziemi na wygnaniu, wpatrywało się w wycelowane w siebie pistolety, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– Przede wszystkim – oznajmił Farrow Grummanowi, – żądamy wydania zdjęć i danych z Ziemi. Następnie zorganizujesz dla wszystkich ludzi na Marsie małe przemówienie przez telewizor i pokażesz im jak rzeczywiście wygląda sytuacja na Ziemi. Możesz zrobić to stąd, nieprawda?

– Tak, może przemawiać stąd – potwierdził Sandoz. – Wszystko co musi zrobić, to zażądać otwarcia kanału od służb obsługi transmisji, tutaj, w Centrum Planowania. I zrobi to!

Grumman dwukrotnie otworzył i zamknął usta, zanim w ogóle był w stanie cokolwiek powiedzieć. Potem, schwytany w pułapkę i przerażony, próbował zebrać razem resztki swojej godności.

– Nie było potrzeby… Nie było najmniejszej potrzeby, żeby w ogóle używać siły – wyjąkał z trudem. – Zawsze mieliśmy zamiar poinformować w odpowiednim czasie naszych obywateli o prawdziwej sytuacji. Ale wcześniej należy przygotować odpowiedni grunt, musimy być bardzo ostrożni…

– Jeżeli będziesz bardzo ostrożny – powiedział Farrow, – to może uda ci się z tego wyjść z życiem. Ale nie jestem taki pewny.

Dwie godziny później, Syrtis City wrzało już podnieceniem, wątpliwościami i rosnącym rozradowaniem. Transmisja telewizyjna, do której zmusili Grummana, niezbite dowody, które podczas niej zostały przedstawione, jasno pokazujące, że Ziemia znowu stała dla nich otworem, że ponownie mogła stać się domem ludzkości, wszystko to było, jakby nagle wypuszczono ich z więzienia, podczas dożywotniego wyroku. Ludzie w oazach, początkowo po prostu nie byli w stanie tego pojąć. Ale teraz zaczęło to do nich docierać, i przez wszystkie zatłoczone ulice wokół Centrum Planowania przetaczał się potężny okrzyk:

– Wracamy na Ziemię! Na *Ziemię*!

Sandoz powiedział:

– Zamknęliśmy Planistów w najbardziej solidnej celi, jaką tu znaleźliśmy. Inaczej rozerwano by ich na kawałki.

T’laa popatrzył na nich.

– Udało wam się dokonać tego, czego pragnęliście. Teraz my, Ibimowie, wracamy do domu.

Farrow podszedł do małej pokrytej futrem postaci, z pełnymi żalu oczyma.

– Ale zobaczymy się jeszcze, T’laa?

– Nie wydaje mi się – odparł Ibim. – I myślę, że tak będzie najlepiej. Vruna miał rację. Byliśmy przyjaciółmi, ale wasza droga nie jest naszą drogą.

Farrow przyglądał się odchodzącemu Ibimowi, o potem odwrócił się w stronę Jen.

– My też wkrótce wrócimy do domu, Jen. Wszyscy ci ludzie, ludzie którzy nawet nigdy nie widzieli Ziemi… z czasem wszyscy tam wrócą, i dla nich to również będzie powrót do domu.

Skinęła głowa, a jej oczy błyszczały.

– Z całą ich wiedzą, z tym wszystkim co potrafią zrobić, i czego mogą nas nauczyć, odbudujemy Ziemię i wkrótce będzie taka jak dawniej.

Farrowem wstrząsnęły głębokie wątpliwości.

– I wszystko to skończy się tak jak poprzednio, całkowitym zniszczeniem?

– Tak nie będzie… Nie może być! – odparła. – Z pewnością czegoś się nauczyliśmy.

Jego ramię otoczyło ją i przycisnął ją mocno do piersi.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział. – Na Boga, mam nadzieję, że się nie mylisz.

KONIEC